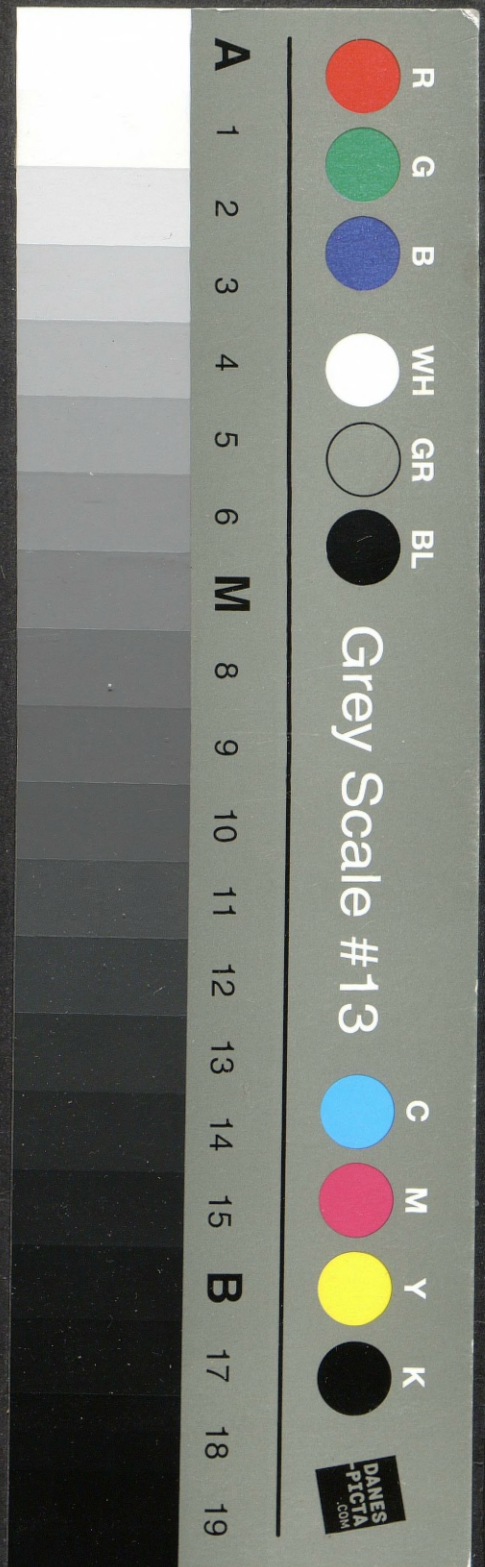
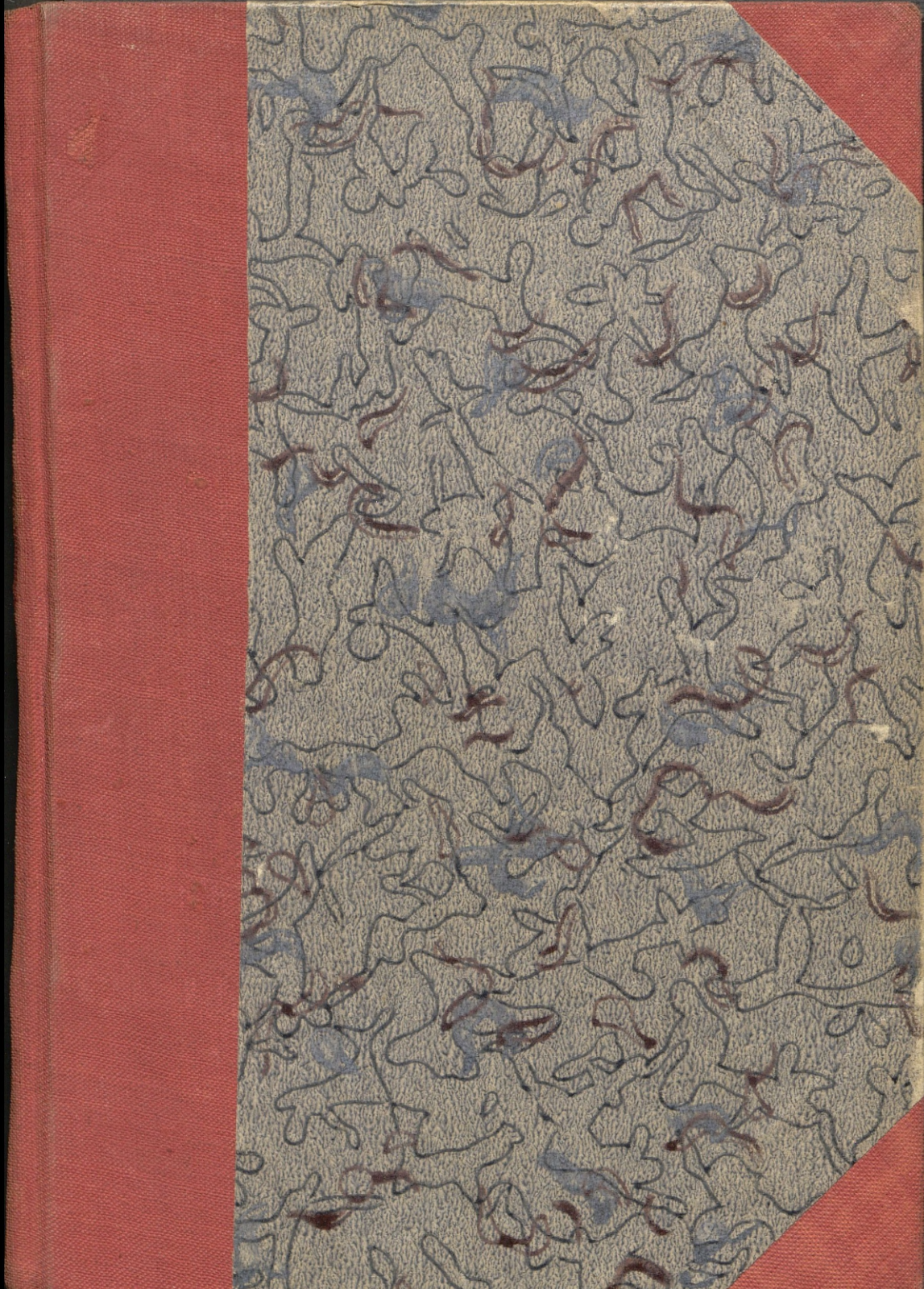
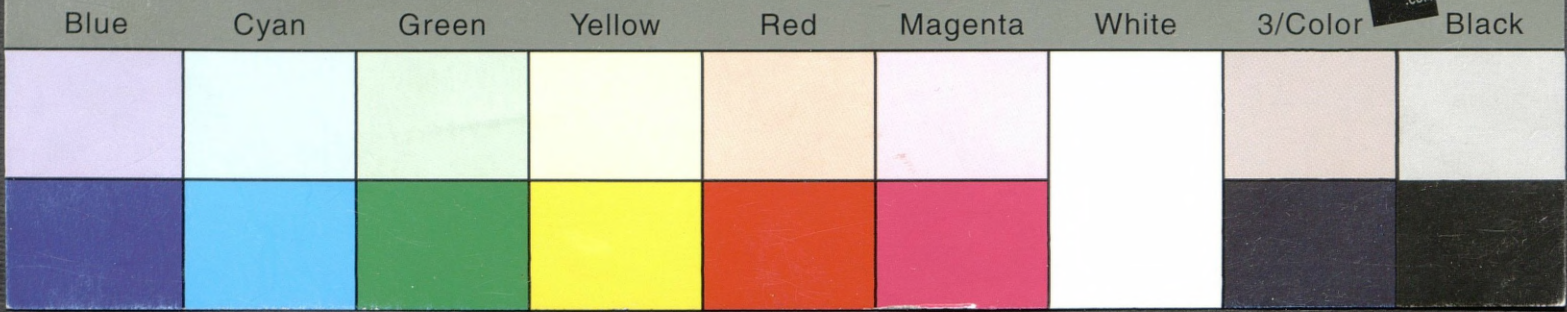
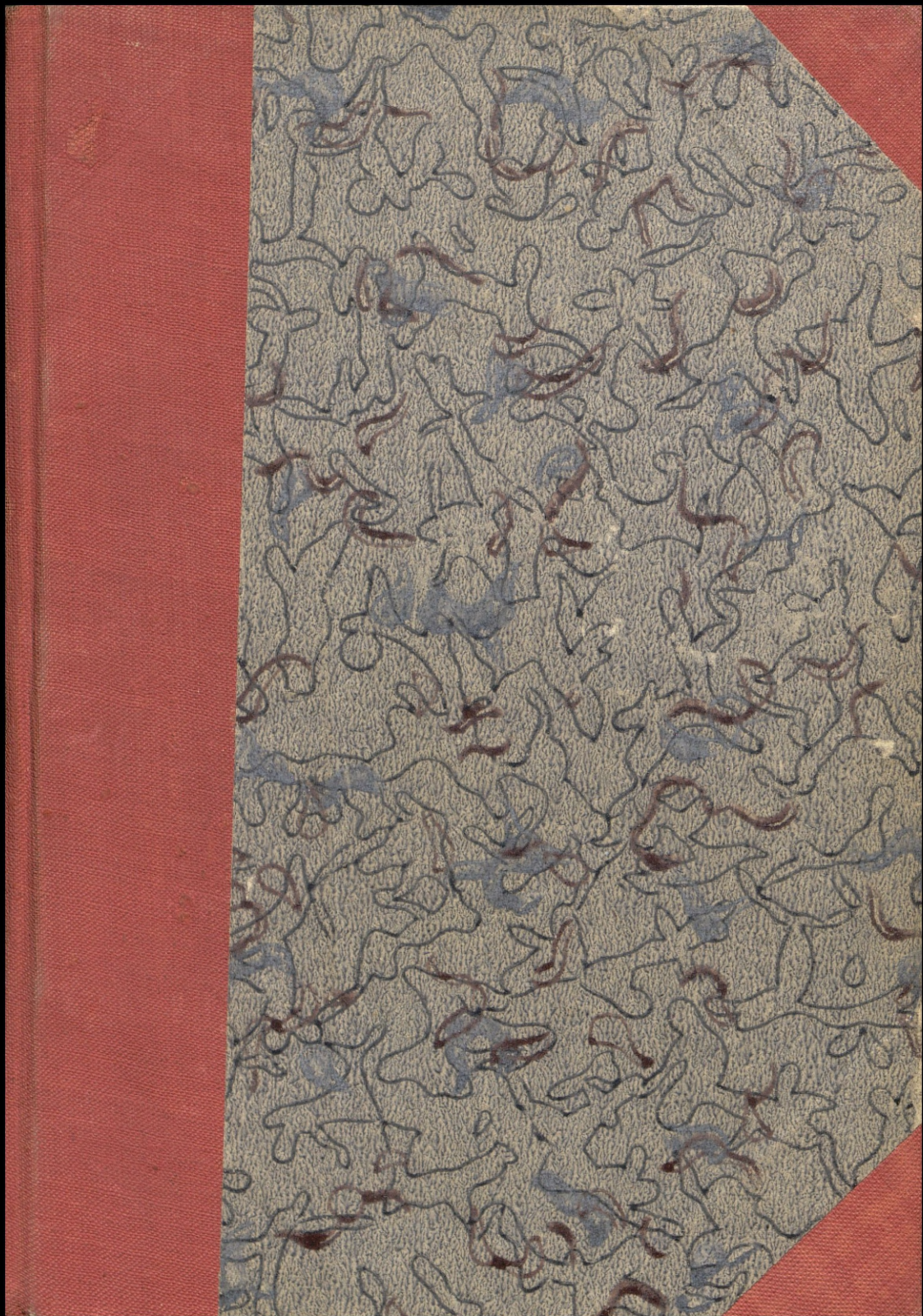


Inches 1 2 3 4 5 6 7 8
Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

Colour Chart #13

DANES-PICTA .COM





MIECZYSLAW SZERER

SOCYOLOGIA
WOJNY

K R A K Ó W - 1 9 1 6
NAKLADEM KSIĘGARNI S. A. KRZYŻANOWSKIEGO

SOCYOLOGIA WOJNY

MIECZYŚLAW SZERER

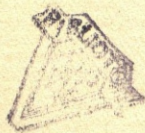
SOCYOLOGIA
WOJNY

K R A K Ó W - 1 9 1 6

NAKŁADEM KSIĘGARNI S. A. KRZYŻANOWSKIEGO
ODBITO CZCIONKAMI DRUKARNI NARODOWEJ

301: 355

29539/2



T R E Ś Ć:

	Str.
WSTĘP = = = = = = = = = =	1
I. ZAGADNIENIA ETYCZNE WOJNY = = =	5
II. JEDNOSTKA A SPOŁECZNOŚĆ W CZASIE WOJNY = = = = = = = = =	21
III. KORZYŚCI SPOŁECZNE WOJNY = = =	44
IV. WOJNA A AKTYWIZM SPOŁECZNY = =	63
ZAKOŃCZENIE = = = = = = = =	73

Zamierzając dokonać w chwili obecnej rozbioru naukowego pewnych specyficznych wpływów, które wywiera wojna na napięcie i kształty życia społecznego, staje się — wedle pozorów, z których nie wszystkie łądzą — przed błędnym kołem. Z jednej strony naukowość, pod której wezwaniem ma dokonywać się badanie, obowiązuje do przedmiotowości; z drugiej zaś — póki nie minęło ze szczerem podniecenie, które wzniciły w nas jedne wypadki, ani nie wyszliśmy jeszcze całkowicie z odrętwienia, w które wtrąciły nas inne — wszystko, co stanowi (*sit venia verbo*) ponadmaszynowość badającego, co czyni zeń żywego człowieka, który nie tylko rejestruje, jak martwy przyrząd, fakty podpadające pod jego uwagę, ale badaną przez siebie terażniejszość także przeżywa, jednym słowem wszystko to, co cechuje badacza nowoczesnego, naraża jego przedmiotowość na taki szwank, tak wygina jego linię obserwacyi, że ustaje, zdawałoby się, wszelka możliwość obiektywności sądu.

Niewątpliwie wśród okoliczności, w których nie podejrzewając nawet badacza o brak szczerzej woli do przedmiotowości, musi się żywić nieufność do jego zdolności w tym kierunku — jako że wchodzi tu w grę procesy podświadome, nad którymi jednostka nie panuje, a które właśnie kształtują ów kąt widzenia, uważany przez nią później za obiektywny — niemożliwością jest absolutna przedmiotowość rozważania. A jednak nie uznając nawet pretensyi do bezwzględnego obiektywizmu, nie trzeba także potępiać i z góry uznawać za organicznie wadliwe wszelkich prób takiego ujęcia wypadków, któreby

było dokonane z chęcią wykluczenia wszystkich uprzedzeń dostrzeżonych w sobie przez autora. Wiadomo, jakie spory wywołuje kwestya osądzeń wydarzeń dziejowych, z jaką odmową spotyka się żądanie wystosowane do historyków a oparte o niemożliwość zupełnej bezstronności, by powstrzymali się od osądzania wypadków przeszłości. Zupełnej przedmiotowości nie można wprawdzie spodziewać się po nikim, bo każdy jest produktem pewnej epoki i pewnej atmosfery społecznej, niemniej przeto stałoby się niemożliwem wszelkie naukowe, poza czyste kronikarstwo wychodzące traktowanie dziejów, gdybyśmy nie zastosowali dobrodziejstwa inwentarza i biorąc człowieka takim, jakim jest — to jest przytomnym człowiekiem właśnie a nie tylko obojętnym medium, przez które przemawia absolutny duch — nie uznawali za cenne i pouczające jego uczciwych dążeń do zbliżenia się do celu, dlatego tylko, że całkowite jego osiągnięcie jest niewykonalne. Bezsprzecznie trudno dzisiaj o niezmacone zgoła spojrzenie w rzeczywistość, o należyty chłód w badaniu. Jednakowoż krytyka naukowa w przyszłości skontroluje rezultaty obecnego badania i odrzuci, co w nich jest nieścisle, a tak, skoro postępienie ewentualne będzie mogło nastąpić a posteriori, nie powinno zachodzić a limine.

A wreszcie nie zdadzą się na nic pedantyczne skrupuły wobec faktu, że umysł ludzki po półtorarocznem już przeszło trwaniu wojny, coraz silniej pożąda pogłębionego, systematycznego wglądu we wypadki, których prąd nami miota. Myśl, która miała już czas, jeśli nie wrócić zupełnie do równowagi, to bądź co bądź znacznie ochłonać, przestaje zadawałniać się powierzchownem powiązaniem zjawisk, których dostarcza jej agitacyjna ideologia początkowego okresu wojny i schodzi coraz głębiej po schodach przyczynowości, aż staje wreszcie u wrót naukowości i puka do nich.

Jest jednak inny jeszcze, nierównie ważniejszy powód, dla

którego nie można rezygnować z naukowego badania już obecnie zjawisk wojennych. Oto zmiany, które wojna wywołuje w charakterystycznych stosunkach współżycia i współdziałania ludzkiego, ulegają same ciągłym zmianom, ciągłej a szybkiej ewolucji. Pozornie możnaby nawet ukuć stąd argument przeciw naszemu przedsięwzięciu, skoro mianowicie przedmiot badania jest jeszcze niedostatecznie skrzepły i ulegając ciągłym fluktuacyom sprawia, że badanie, zamiast spoczywać na pewnym gruncie, jest osadzone na ruchomych piaskach. W rzeczywistości argument ten musi ustąpić pola przed innym, który można wyprowadzić przeciw niemu. Comte, którego starania zmierzały do upożytywnienia badań socyologicznych przez wprowadzenie do nich metod nauk przyrodniczych, twierdził, że ta metoda, która w naukach przyrodniczych oddaje najznakomitsze usługi, a mianowicie metoda doświadczalna, dostępna jest dla socyologa niezmiernie rzadko: tylko w chwilach wielkich przewrotów społecznych, gdy wykluwają się dopiero przyszłe formy współżycia zbiorowego. Twierdzenie słuszne bo to, co stanowi jedną z głównych wartości doświadczenia — możliwość obserwowania procesu stawiania się — tę sposobność ma socyolog jedynie właśnie w momentach wielkich przewrotów społecznych. Gdy normalnie może on rozpatrywać tylko gotowy wytwór rozwoju, sam zaś rozwój rozpada się na szereg faz, które przechodzą jedna w drugą nazbyt powolnymi i nieznacznymi ruchami, aby mogły być zauważane, to w chwilach wielkich wstrząśnień społecznych tempo ewolucji tak jest przyspieszone, że można obserwować już nie jedynie skończony produkt ewolucji, ale sam proces jego wytwarzania się.

I nie tylko można tu obserwować rzeczy, kiedyindziej niewidzialne, ale wskutek owego szybkiego następstwa wypadków i szybkiego przeistaczania się ich układu, należy też każdej chwili chwycić, co tylko w danym momencie jest

dostępne ujęciu, bo gdy zniknie, a znika rychło, będzie nam o nim mogło mówić już tylko przypomnienie go sobie, któremu przecież jeszcze mniej zawierzyć można niż bezpośrednioj obserwacji, chociaż nawet przedsięwziętej w warunkach wzbudzających pewną nieufność do jej ścisłości. Jest zresztą, powtarzam, rzeczą późniejszej krytyki wykazać, jak dalece w konkretnych wypadkach ta nieufność jest uzasadniona.

Te względy skłoniły mnie do spisania już teraz swych obserwacji socjologicznych nad wojną. Zaznaczam tu na wstępie jeszcze tylko, że są one z konieczności niekompletne. Raz dlatego, że niepodobna śledzić szczegółowo wszystkich rozgałęzień wpływów wojny na stosunki społeczne, że więc trzeba było zacieśnić uwagę do pewnych większych seryi zjawisk, powtóre zaś dlatego, że szereg socjologicznie interesujących wpływów wojny objawi się dopiero — podczas pokoju. Dziś są one jeszcze poza widnokreśmieniem pozytywnego poznawania i rozważenie ich będzie mogło dopiero w przyszłości uzupełnić »socyologię wojny«.

I. ZAGADNIENIE ETYCZNE WOJNY

Zagadnienie etyczne wojny wchodzi o tyle w skład naszych rozważań, o ile siły moralne działające w zbiorowości są pozytywnym przedmiotem badań socjologicznych. Nie będzie nam tu jednak chodziło o usystematyzowanie wojennych zjawisk moralnych — bo to byłoby przedmiotem ściśle pozytywnej nauki o obyczajach (Lévy-Bruhl!), gdyby taka istniała, nie zaś socjologii we właściwym znaczeniu. Zadanie nasze będzie polegało na zdaniu sobie sprawy z okoliczności będących podstawą sądów etycznych o wpływach wojny, a osadzonych w naturze ogólnej życia społecznego i jego osobliwych warunkach w czasie wojny. Będziemy starali się uzyskać przytem wskaźniki dla rozeznania, czy wypływające w czasie wojennym oceny etyczne, odskakujące częstokroć od ocen czasu powszedniego, należy uważać za chwilowy tylko wykwit nagminnego rozgrzania umysłów, czy też przyznać im ugruntowanie w trwałych potrzebach życia społecznego.

Określmy najsamprzód terminy. Wiadomo, że nie rozstrzygnięto dotąd bezapelacyjnie sporu, czym jest etyka, co to jest zjawisko moralne. Nie mam pretensyi do wytaczania dyskusyi na ten temat, do stawiania naprzeciw i w miejsce dotychczasowej definicyi jakiejś nowej a uniwersalnej. Poдам tylko określenie tego znaczenia, które przy dociekaniach socjologicznych może być najwydajniejsze we wyniki poznawcze i którym z tego powodu będziemy się tu posługiwali.

Doświadczenie uczy, że życie społeczne jest w świecie ludzkim bezwzględną wartością, w nim tylko i przez nie rozwija się królestwo człowieka na ziemi. To też wytwarzają się z biegiem czasu urządzenia, mające na celu rozszerzanie jego zakresu, skupianie jego elementów (bo w zwartej współpracy siła) i wreszcie utrwalanie jego zdobyczy. Urządzenia te — państwo, prawo, obyczaje (nie obyczajność!) — zbierając roz-

prószoną po zbiorowości energię i kierując następnie jej zużyciem, zmiierzają do wydobycia z człowieka pewnego zachowania się, jakiegoś *facere* lub *patri*, zachowania się mianowicie, potwierdzającego potrzeby życia społecznego przez przyczynianie się do utrzymania pewnych jego kształtów, lub co najmniej nieprzeszkadzanie uczynkami ich konserwacyi. Ale potrzeby życia społecznego torują sobie drogę do zaspokojenia nie tylko za pomocą urzędzeń, wywierających z zewnątrz na człowieka nacisk w kierunku pożądanego zachowania się. Znana skądinąd jako objaw rozwoju postępowego dążność do ekonomizacyi sił, dążność do zwiększania wyników a zmniejszania wysiłku, przejawia się tutaj jako stwarzanie wewnątrz człowieka, w jego psychice, podnieć skłaniających go mocą immanentnej perswazyi do tego właśnie zachowania się, do którego — bez nich — musiałyby być przynaglony owemi zewnętrznymi urządzeniami, a więc z dużo większym wydatkiem energii społecznej. Można by powiedzieć, że wchodzi w ten sposób w miejsce mechanicznego organiczne przystosowanie się człowieka do wymogów życia społecznego, bo wspieranie rozwoju zbiorowości dokonywać się będzie odtąd już nie tylko przez proste, maszynowe ustawienie się w pewnej pozycyi do biegu wypadków, ale przez przylgnięcie świadomą wolą do działania społecznie dodatniego.

Otóż zachowanie się człowieka rozpatrywane pod kątem widzenia popierania potrzeb współżycia świadomą chęcią jako pobudką zamkniętą w sobie, — bo i podnieć i zarazem zadośćuczynienie (Kant!) mieszczącą — jest dla socjologa przedmiotem zagadnień etycznych.

Reasumujemy. Społecznie pożądane postacie zachowania się ludzkiego odlewają się w dwóch rodzajach kształtujących je form: jedne formy, to owe urządzenia z zewnątrz normujące, drugie, to nacisk czysto wewnętrzny, oparty o świadomość powinności, której nie można rozdedukować bez reszty

(S i m m e l), a którą można pojąć tylko jako atawistycznie przekazywany i umacniany wytwór tego wpływu, którym trwałe wymogi życia społecznego odciskają się na naturze ludzkiej. Te drugie formy — to moralność, tak jak ją widzi socyolog.

Określone tu pojęcie etyki jest oczywiście tylko pojęciem ramowym, to znaczy, że wytyczono tylko formalne granice, w obrębie których poruszają się treści poszczególnych przepisów moralnych. Obrazując inaczej, powiedzmy, że naznaczono tu tylko ogólny koloryt norm etycznych, ten koloryt, który z punktu widzenia socyologa determinuje właśnie ich charakter etyczny i przebiega poprzez wszystkie konkretne ich kształty.

Odrazu zarysowuje się pewien podział. Człowiek, jak już tłumaczono do syta, nie jest nigdy zjawiskiem czysto jednostkowym. Mimo to wśród rozlicznych sytuacji życiowych, przez które przechodzi, można rozróżnić *grosso modo* dwa typy. W jednym z nich człowiek znajduje się w punkcie przecięcia stosunkowo małej ilości lub stosunkowo niedaleko sięgających interesów, w innych znajduje się w ognisku splotu stosunkowo wielkiej ilości lub stosunkowo daleko sięgających interesów, wskutek czego działalnością swą wpływa na sferę stosunków w obrębie rozległego kręgu współżyjących. W pierwszym wypadku mówimy o człowieku jako o »jednostce« i o jego sferze działania prywatnej, w drugim, jako o obywatelu i o jego sferze działania publicznej. Ściśle biorąc i odchyłając różne frazeologiczne obsłonki, odnajdujemy tę kwestię wielości lub doniosłości wprowadzonych w grę interesów u dna podziału prawa na prywatne i publiczne. Fakt, że podział ten jest w wielu wypadkach raczej konwencyonalny, niż oparty o istotne różnice, że dziedziny ich często zachodzą na siebie, odpowiada okoliczności, że wskutek poplątania nici stosunków między ludźmi w społecznościach rozwiniętych — to znaczy takich, w których wskutek

misternych zaplotów współdziałań interesy członków zbiorowości są bardzo podatne do konsonancyi i resonancyi — nie można nigdy dokładnie przewidzieć, jaka będzie rozległość skutków pewnych akcji, a przeto nie można też z góry i ściśle oznaczyć, jaka jest ilość interesów wprawionych w ruch przy działalności z dziedziny prywatnej, a jaka przy działalności z dziedziny publicznej. Rozstrzyga tu za każdym razem konkretność życia, wskutek czego ustanowione z góry podziały są z natury rzeczy tylko przybliżone, schematyczne, nie przylegające dokładnie do rzeczywistości życia. Dlatego też powiedzieliśmy wyżej umyślnie ogólnikowo, że chodzi o s t o s u n k o w o wielkie lub małe ilości interesów.

Podobnie, bo z tych samych powodów, rozpadają się i kwestye etyczne na dwie części. W obu będzie chodziło o potwierdzenie przekonaniowe potrzeb współżycia, o to wewnętrzne zestrojenie się z wymogami życia społecznego, któreśmy wyżej określili. Ale gdy w jednej grupie wypadków będzie chodziło o uregulowanie życia wewnętrznego człowieka, jako istoty stojącej w punkcie zbiegu interesów o stosunkowo niewielkim zakresie promieniowania, to w drugiej będziemy mieli do czynienia z człowiekiem, jako istotą, przez którą przechodzą linie dalekonośnych interesów, tak że przekonania, które mają być ukształtowane, będą w tym wypadku dotyczyć zagadnień leżących na nierównie wyższym poziomie, niż poprzednie. Tak oddawanie czci ojcu i matce i nawzajem staranie o dzieci należeć będą do pierwszej kategorii: chodzi tu o podtrzymywanie życia rodzinnego, będącego jednym z głównych elementów uspołecznienia (w tem przebija się moment popierania potrzeb życia społecznego), zarazem jednak, biorąc konkretnie, wchodzi tu w grę stosunkowo niewielki, bo do koła życia rodzinnego zacieśniony zakres interesów. Weźmy z drugiej strony jako przykład ogólne posłuszeństwo prawu. Jego ważność z punktu widzenia potrzeb uporządkowanego

współzycia jest oczywista. Widoczne też jest, że w tym wypadku człowiek znajduje się w ognisku interesów nierównie ważniejszych, niż wówczas, gdy chodziło tylko o sprawy rodzinne, że w tym wypadku zainteresowane jest nie tylko drobne koło rodzinne, ale cała społeczność zadowolona z danego uporządkowania prawnego. To też gdy poprzednio wewnętrzne imperium należało do moralności prywatnej, tutaj stajemy wobec zagadnienia z dziedziny moralności publicznej.

Odrzucając jednak zastrzec się należy przeciw pojmowaniu tego podziału zbyt sztywno i przypuszczaniu, że różnice są jaskrawe i zawsze rzucają się w oczy. Stosownie do splątania stosunków społecznych i nieustanności ich ruchu, granice są płynne i zjawiska przechodzą łatwo z jednej kategorii do drugiej. Tak np. pewne wykroczenia przeciw porządkowi rodzinnemu, a więc porządkowi jednej tylko z niezliczonych ilości komórek ciała społecznego — dotyczące wobec tego moralności prywatnej — mogą, jeśli skutek ostentacyjności grożą zaraźliwością i wzruszeniem przez to stanu takiej ilości komórek, która już nie może być społecznie obojętna, przekroczyć wiotką granicę i szarpać moralność publiczną.

Można omawianą tu różnicę jeszcze tak wyrazić, że moralność prywatna (lub — jeśli kto woli — osobista) ma za punkt wyjścia i źródło swych powinności pełny rozwój jednostki, a zaś moralność publiczna (zbiorowa) pełny rozwój społeczności. Pierwszej chodzi o takie nastrojenie wewnętrznego życia człowieka, które umożliwi mu gładkie zawiązywanie stosunków z osobami wchodzącymi z nim w bezpośrednią styczność i stwarza podstawy wzajemnego zaufania, na którym spoczywa *commercium* pomiędzy jednostkami tak ważne dla ich rozwoju, bo pozwalające na dobrodziejstwo wymiany usług. W drugiej chodzi również o nastrojenie życia wewnętrznego człowieka, ale nastrojenie mające możliwość objawienia się i wywołania skutków dopiero wówczas, gdy chodzi o sprawy, które dotyczą nie pewnych szczegółowych stosunków

między jednostkami, ale ogólnych warunków i kształtów współżycia i współdziałania w danej zbiorowości, a więc dotyczą tego podstawowego tła, na którym dopiero zawiązują się owe stosunki indywidualne. Rzecz jasna, że w tym drugim wypadku występują na widownię zagadnienia o wiele głębsze, bo sięgają nietylko powierzchni współżycia i współdziałania jednostki z drugimi, ale tej calizny życia społecznego, w której ona tkwi swymi korzeniami i z której czerpie soki dla swego wzrostu i rozkwitu.

Mamy zatem z jednej strony potrzeby rozwoju jednostki, z drugiej potrzeby rozwoju społeczności. Można wprawdzie zarzucić, że — o ile nie chce się hodować pasożytnictwa pewnych osobników na koszt innych — nie można inaczej popierać rozwoju jednostki, niż podnosząc warunki bytu zbiorowego (altruizm jest najrozumniejszym egoizmem) i że, z drugiej strony, nie można też inaczej rozwijać społeczności, jak czyniąc zadosyć potrzebom rozwojowym składających ją jednostek. Jednakowoż odczucie nasze odróżnia wyraźnie różną ilość interesów wciągniętych w grę raz przez potrzeby rozwoju jednostki, drugi raz przez potrzeby rozwoju społeczności. I chociaż rozumowo, dyskursywnie, nie można tych ilości ściśle wymierzyć i nie można ustanowić taksy na jeden wypadek i drugi, to jednak znów odczucie dostrzeże moment, w którym różnica ilościowa przechodzi w jakościową, oddzielając dziedzinę moralności publicznej od dziedziny moralności prywatnej, jako teren odrębnych zagadnień. Przyznanie, że nie można oprzeć rozgraniczenia o inny, »ściślejszy« czynnik, niż poczucie, nie jest bynajmniej usunięciem z pod wywodów twardego gruntu naukowego. Naprzód bowiem poczucie jest czynnikiem pozytywnym, którego istnienie podpada obserwacji i stwierdzeniu. Powtóre zaś, gdy przystępuje się do uchwycenia obrazu zjawisk życia społecznego z ich nieustanną osmozą, trzeba niejednokrotnie, o ile ujęcie ich w szty-

wne ramki pojęć okaże się niemożliwe, szukać (bez przyjmowania przez to doktryny bergsonizmu) w uczuciach, giętkich i z natury swej o tyle bardziej niż »ściśle«
pojęcia zdolnych wciskać się w ślady pierzchliwego życia, punktów zaczepienia wywodów.

Skoro moralność publiczna ogarnia dziedzinę interesów liczniejszych i większej wagi, niż moralność osobista, to zrozumiałe, że różne są ich wymagania i że nie należy mieszać ich kompetencji. A z takiego to właśnie pomieszania kompetencji wynika usiłowanie mierzenia zjawisk z zakresu moralności publicznej miarą zjawisk poddanych władztwu moralności prywatnej i następnie zdziwienie i pesymizm, gdy okazuje się, że pomiar daje ujemne wyniki. Z tego to zawodu wypływa zniechęcony gość nie różniczkującego należycie moralisty, który spostrzegając, że oceny moralne, posiadające walutę w dziedzinie życia prywatnego, częstokroć pozbawione jej są w polityce — t. j. w dziedzinie działań, mających na celu ukształtowanie pewnych grup objawów życia zbiorowego, a więc w dziedzinie typowo podległej moralności publicznej — gotów odsądzać przedsięwzięcia polityczne od czci i wiary. W rzeczywistości zachodzą tu dwie różne płaszczyzny działań, na których tak zewnętrzne zachowanie się człowieka, jak i jego wewnętrzny habitus podlegają różnym normom.

Rozbierzemy kilka z tych różnic.

Krótkie rozumowanie wystarczy, by wyjaśnić, dlaczego rygoryzm, mający pełną moc w zakresie moralności prywatnej może (niekoniecznie musi) zelżeć w kwestyach publicznych. Życie społeczne nie może inaczej utrzymywać w człowieku tego wewnętrznego nastrojenia się, które uznaliśmy za cel moralności prywatnej, a które skłania do potwierdzania w stosunkach osobistych potrzeb współżycia, jak nie pozwalając mu zbaczać ani na krok z pewnych dróg

wytycznych. Odbywa się tu tresura umysłów, która nie dopuszcza żadnego, choćby nawet jednorazowego tylko odchylenia od normy, bo wie, że stoi swą bezwarunkowością i że najkrótsze nawet zawieszenie dyscypliny może unicestwić całą poprzednią żmudną pracę.

Życie społeczne uczy człowieka dogadzania swemu ego-izmowi drogą okólną, poprzez ofiarę na rzecz ogółu z bezwzględności swych osobistych popędów. Instynkt natomiast porywa go ku bezpośredniemu zaspakajaniu egoizmu, bez oglądania się na innych. Pociąg ten zaś jest tak silny, że przeciwstawić mu trzeba hamulec wielkiej tęgości. »Człowiek, powiada Kant, jest zwierzęciem, któremu gdy żyje z innymi jego gatunku, potrzeba pana. Niewątpliwie bowiem nadużywa swjej swobody wobec innych, jemu równych... Potrzebuje przeto pana, któryby złamał jego własną wolę, któryby go zniewolił do posłuszeństwa wobec woli, mającej powszechną wagę i przy której każdy może być wolny.« Owóż pan, władca, zapanować może nad człowiekiem mocą łamiącą fizycznie opór, może kieżnać jego odśrodkowe zamysły prawem, jako wyrażającym siłę, która z wiadomym nieodpornym skutkiem może być w ruch wprawiona. Moralność natomiast nie rozporządająca zewnętrznym przymusem i działająca wobec materiału — myśli — na który wogóle przymus fizyczny nie może być warty, wówczas tylko może być władczynią rzeczywiście panującą nad społecznoburczym popędem człowieka, gdy zawisa nad duszą ciężarem, którego gniot nigdy na chwilę nawet nie ustaje. To, w czym upatruje się najwyższą wartość moralności prywatnej, jej nieustępliwość, jest jej najistotniejszą cechą i warunkiem bytu: pozbawiona egzekutywy, działającej zewnętrznym przymusem, musi posiadać taki urok niezachwialności, któryby nie dopuszczał możliwości zamysłu jej naruszenia, a nawet myśl o tem czynił wskutek niebywałości rzeczy nieznośną. Nie może tu więc być żadnej pobłażliwości, żadnego chociażby przejścio-

wego tylko zawieszenia rygoru; nawet takie przemijające zniesienie nacisku, godziłoby w przęśła całej budowy. Tylko bezwzględna nieodmiennność postępowania może wyprowadzić przeciw antyspołecznym porywom siłę przyzwyczajenia, stwarzającą »drugą naturę«. Tylko nieodmiennność powtarzania się żłobi drogi myśli tak głębokie, że siła emocjonalnej reakcji przeciw zboczeniu z nich może w skutkach równać się sile zewnętrznego przymusu.

Łączy się z tem okoliczność, że w rozdrobnionych i rozsypanych w nieskończonej ilości wypadkach zachowania się podległego moralności prywatnej niemożliwe jest wykonywanie szczegółowej kontroli rozważającej ewentualną wyjątkowość pewnych sytuacji, zawieszającej na tej zasadzie reguł i udzielającej w danym razie jednostkowego rozgrzeszenia. Mieści się w tem źródło możliwości konfliktów bardzo bolesnych dla jednostki, wówczas mianowicie, gdy znajdzie się ona w położeniu, któremu towarzyszące szczególne okoliczności z całą mocą nastroją ją sprzecznie z obowiązującą moralnością, która z natury swej nie znając wyjątkowości, nie może dla danego razu zawiesić swych przykazań. Weźmy jako przykład człowieka, którego drugi, chory, skazany niechybnie na bliską śmierć i w strasznych mękach dogorywający, błaga o skrócenie bezcelowych cierpień. Weźmy przykład matki sprzedającej się, by zyskać środki do życia dla dziecka, które chce zachować przy sobie. Jakkolwiek czujemy, że zwykła ocena moralna powinna być w takich wypadkach uchylona, to jednak bronimy się przeciw wyciąganiu z nich wniosków, któreby powszechność i absolutność norm moralnych — chociażby nawet tylko w podpadającej pod wzgląd częściowej dziedzinie — opatrywały zastrzeżeniami, rozumując, że wprowadzanie do moralności elastyczności jest kopaniem jej grobu: giętka moralność gorsza jest, niż otwarta niemoralność, bo zaprzeczenie swej istoty łączy z perfidyą.

Inaczej w zakresie moralności publicznej. Zastrzec się jednak trzeba odrazu przeciw przypuszczeniu, że odmienność to jest taka, iżby co moralność prywatna ocenia ujemnie, to w publicznej miało uchodzić za dodatnie. Znaczy to tylko, że występują tu inne wartości i że inaczej odbywa się czuwanie nad ich osiągnięciem.

Moralność prywatna dotyczy nastroju wewnętrznego, którego skutki widoczne są w zachowaniu się w szczegółowych sytuacjach jednostkowego zakresu stosunków i nastawia to zachowanie się w kierunku określonych potrzeb społecznych. Brane oddzielnie, same w sobie, te zachowania się mogą być obojętne, jako że — wedle definicyi — zaczepione są o małą ilość interesów i nie sięgają daleko swymi skutkami; irrelewanicy odbiera im dopiero fakt, że się sumują i w ten sposób pośrednio — poprzez ogólny wynik — objawiają swój wpływ na kształt poźycia społecznego. Natomiast moralność publiczna dotyczy nastroju wewnętrznego, objawiającego się w działaniach, które wprawiają w ruch wielkie masy interesów i sięgają wskutek tego bezpośrednio do słupów, na których spoczywa dane ukształtowanie społeczne. Rzecz jasna, że inna jest skala rozpościerania się skutków, gdy chodzi o dotrzymanie słowa przez jednostkę, a inna, gdy chodzi o dochowanie umowy między państwami.

Z tego stanu rzeczy płyną następstwa w dwóch kierunkach: Po pierwsze, nieodzowny w moralności prywatnej rygorizm, może tu (nie musi!) stać się zbędnym, a nawet szkodliwym. Zbędnym, bo właśnie już sam rozmiar i sama waga interesów wciągniętych w grę w tym wypadku skłaniają człowieka, — który mimo wszystkie podszepty egoizmu zapamiętanego na własną tylko bezpośrednią korzyść instynktownie rozumie wartość współżycia i pojmuje zależność swego osobistego sposobu bytu od sposobu bytu zbiorowości, do której należy — do pójścia po linii potrzeb społecznych. Waż-

kość i rozmiar interesów odgrywają tu wobec nastrojenia wewnętrznego tę samą kształtującą rolę, co w dziedzinie moralności prywatnej siła przyzwyczajenia stojąca nieustępliwością. Bezkompromisowość moralności prywatnej, tak często zachwalana jako cecha jej wyższości nad publiczną, stąd pochodzi, że aparat psychiczny człowieka, pomimo całej swej subtelności — a może właśnie wskutek tej subtelności? — nie jest dość doskonały, by niezachwialnie kierować jego krokami po wązkich, cieniem pokrytych kładkach codziennego życia. Okazuje się natomiast dostatecznie zdatnym do rozeznania dróg prowadzących w kierunku wytkniętym przez potrzeby społeczne wówczas, gdy są szerokie i gdy wielka ilość wyświeconych interesów rzuca na nie jasne światło. Rygoryzm może tu dalej — powiedzieliśmy — stać się nawet szkodliwym, jeśli mianowicie przemienia się w bezmyślny pedantyzm, poświęcający dla rutyny te pierwszorzędne dobra, nad którymi straż ma mieć właśnie moralność publiczna. Wykręcony w obu wypadkach do równej wysokości rygoryzm szedłby w moralności publicznej wielkimi krokami wprost p r z e c i w temu celowi, ku któremu — małymi — podąża moralność prywatna.

Drugim następstwem jest konieczność dopuszczenia tu wyjątkowości wyklętej z moralności prywatnej. Bezwyjątkowość tej ostatniej poznaliśmy jako skutek częstotliwości i stosunkowej drobnoustrojowości zjawisk poddanych jej normom oraz wynikającej stąd niemożliwości szczegółowego indywidualizowania wypadków. Zdarzenia natomiast poddane władztwu moralności publicznej są z natury rzeczy bez porównania rzadsze. Wielki rozmiar i wielki ciężar interesów — a o takie tu chodzi — sprawiają, że nie mogą one być wprawiane w ruch często bez narażania nawy społecznej na niebezpieczne rozchybotanie. Jakkolwiek nie można zasady *quieta non movere* uznać za bezwarunkową w polityce, to jednak

jedną z cech mądrości politycznej jest niewątpliwie dążność do usuwania przyczyn wywołujących w życiu społecznym głębokie falowania — jako wprowadzających niepokój w mechanizm tego życia. Tendencja do pewności w stosunkach społecznych walczy przeciw mnożeniu się wypadków, w których poruszenie interesów zatacza szerokie kręgi, grożąc istniejącemu ukształtowaniu rzeczy. W ten sposób każdy wypadek tej kategorii już z racyi swej rzadkości nabiera cech indywidualnych i każdy jest jakoś »wyjątkowy«. Staje się przez to możliwą dokładna ewidencja, osądzenia sytuacji wedle jej jednostkowości, a z ułatwieniem kontroli staje się też dopuszczalnym większy liberalizm w ocenianiu, dopasowywanie ocen do szczególności wypadków.

Poznaliśmy przyczyny, sprawiające, dlaczego oceny z punktu widzenia moralności prywatnej muszą wypaść inaczej, niż oceny z punktu widzenia moralności publicznej. Ostrzegaliśmy jednak już wyżej przed przypuszczeniem, że te dwie dziedziny moralności dzieli wyraźna bruzda graniczna tak, iżby z a w s z e kompetencja tylko jednej z nich była zupełnie pewna, iżby zawsze było jasne ponad wszelką wątpliwość, której z nich zasady mają być stosowane. Obecnie wskazać jeszcze należy dodatkowo na wzajemną zależność, reperkusje z jednej na drugą.

Z faktu, że naczelnym punktem orientacyjnym moralności jest zaspokojenie potrzeb rozwoju społeczności, wynika, że gdy zaspokojenie to może być w pewnej sytuacji dokonane tylko z przełamaniem obiegających pojęć moralnych, to jest pojęć dostosowanych do dotychczasowych lecz obecnie zmienionych warunków życia zbiorowości, to moralność publiczna — nieskrępowana bezwzględną nieruchomością — nie może potępić takiego przełamania. Inaczej powstawałby para-

doks, że moralność publiczna niszczyłaby rację swego bytu: pomoc dawaną rozwojowi społeczności. *)

Jednakowoż potrzebne jest pewne zastrzeżenie. Owo odstępstwo moralności publicznej od dotychczasowych zasad nie może iść tak daleko, iżby nastąpiło dzięki niemu obniżenie się ogólnego poziomu moralnego, t. j. poziomu pojęć, które wewnątrz człowieka sprawują straż nad potrzebami rozwoju społecznego — i to obniżenie się takie, które w skutkach swych byłoby dla powodzenia zbiorowości gorsze, niż powstrzymanie się od owego kroku łamiącego dotychczasową normę. Inaczej mówiąc, ustępstwo moralności publicznej nie może osłabiać nadmiernie tych hamulców przeciwozkładowych, których rozwijanie w człowieku jest właśnie zadaniem i moralności publicznej i (tu natrafiamy na moment reperkusyi) moralności prywatnej.

Trzeba w takich razach oczywiście, chcąc sąd wydać, dokładnie odważyć wszystkie czynniki dodatnie i ujemne splecione w danym konkretnym wypadku. Prostolinijność orzeczenia równałaby się w takich razach zrezygnowaniu z wniknięcia w złożoność życia społecznego, a zatem i z adekwatności sądu. Weźmy jako przykład uchwałę 3-go maja 1791 r. Nastąpiła przez zaskoczenie posłów z opozycyi, przez wyrażone skorzystanie z ich nieobecności, a więc proceder sprzeczny z normalnie obowiązującą zasadą moralności publicznej i zdolny wskutek tego wprowadzić rozluźnienie w i tak już mało spoiste obyczaje sejmowe. Rzeczywiście normalnie musielibyśmy dopatrywać się w sposobie uchwalenia konstytucyi 3-go maja takiego właśnie ustępstwa moralności publi-

*) Stoimy tu oczywiście na stanowisku czysto socjologicznem, to znaczy, że obchodzi nas tylko społeczna funkcya moralności; rzecz jasna, że metafizyk może uznać moralność za wartość bezwzględną i żądać zawsze jej tryumfu, chociażby przyszło sztandar zwycięski zatknąć na gruzach świata.

cznej, które — z punktu widzenia ogólnych skutków dla społeczeństwa — należy potępić. Tymczasem okoliczności towarzyszące wyniesieniu tej uchwały — a nie potrzeba ich tu przytaczać — sprawiły niewątpliwie, że jako opartej o szukającą ostatecznego ratunku polską rację stanu, moralność publiczna nie może jej nic zarzucić.

Nie tak łatwe jest rozstrzygnięcie w innych wypadkach. Przypominam dyskusję z niedawnej przeszłości na temat, czy organizacje bojowe, tworzone w okresie rewolucji rosyjskiej przez partie polityczne dla walki z rządem carskim i jako takie mogące aspirować do uznania ze strony moralności publicznej w społeczeństwach ujarzmionych przez cara, mogą — z drugiej strony — ostać się przed sądem tej moralności ze względu na to, że osłabiając hamulce rozpanoszenia się samopomocy, ułatwiają słabszym duchowo jednostkom ześlizgnięcie się do bandytyzmu. Co ważniejsze: wartości stworzone przez bohaterskie poświęcenie się jednych, czy szkody wyrządzone przez demoralizację drugich?

Inny przykład — z dziedziny mniej już dziś wyzywającej namiętności — może jeszcze zilustrować trudność rozstrzygnięcia, jaką miarkę wziąć w danym wypadku: czy mianowicie słuszność miał Mickiewicz, gloryfikując patryotyczne intencje Konrada Wallenroda i uświęcając nimi środki, czy też Słowacki, atakując wallenrodyzm za to, że

wprowadził pewien do zdrady metodyzm,
z jednego zrobił zdrajców sto tysięcy —

kto miał słuszność?

Wreszcie niech tę walkę dwóch pierwiastków objaśni przykład podziału Polski. Zgłuszenie krzyku moralności przeciw krajaniu żywego ciała Polski wyszło niewątpliwie bezpośrednio na dobre mocarstwom rozbiorowym: wzrosły ich posiadłości, zwiększyła się ich potęga. Czy to wystarcza, aby

zgodziła się nań moralność publiczna? Dzieje wykazały, że podział Polski był nie tylko błędem politycznym, ale także błędem moralnym, bo usunął skrupuły wstrzymujące rozlew bezwzględnych zapędów zaborczych i stanowiące (same przez się niedostateczną cprawda, ale przecież rzeczywistą) zaporę przeciw szerzącej niepokój, na wyzysk słabszego czyhającej sile. Nie było czystą obłudą, ale właśnie odbiciem tego zmagania się dwóch pierwiastków ocen — patrzenia na krótką i daleką metę — gdy Marya Teresa, kładąc podpis pod wyrokiem na Polskę, opatrywała swe *placet* znanym »ale« przewidyującym mściwe następstwa złego czynu.

Naszkoicowaliśmy zasadę, na której polega odmienność ustroju moralności publicznej i prywatnej i która wyjaśnia, dlaczego moralność w pewnym punkcie swej drogi ku zachowaniu i doskonaleniu życia społecznego dochodzi do rozstajów i musi rozszczepić się, by móc podążać w obie strony. Widzieliśmy jednak, że dwa tory, którymi biegnie odtąd moralność, nie zawsze są wyraźnie oddzielone od siebie. Cała trudność właśnie w tem, by separować obie kategorie moralności tak, jak tego wymaga odmienność ich natur, zarazem jednak zachowywać świadomość i uwzględnić, że zachodzą one częstokroć na siebie i wzajemnie się uzależniają. Oczywiście trudność ta i niebezpieczeństwo grożące wykołajeniem się myśli rozpatrującej zjawiska wzrastają dziesięciokrotnie, gdy jeszcze podczas trwania rozgorączkowania wojennego przychodzi sądzić stosunek moralności do wypadków, które wojna wywołuje w życiu walczącej zbiorowości. Do wszystkich normalnych, przedmiotowych trudności rozpoznawczych dołącza się wówczas jeszcze trudność ustawienia się w należytej perspektywie do wypadków, przy zasadniczej odmienności wartościowania zależnie od tego, czy ktoś stoi na zewnątrz

walczącej społeczności, czy też jest ogarnięty przez krąg jej interesów.

Na szczęście dla socjologa ocenianie nie jest jego zadaniem. Rozdział ten nie zmierza więc do wydania sądu etycznego o wojnie. Chodziło tu tylko o wskazanie na społeczne źródła pochodzenia i zasady funkcjonowania moralności i na specyficzne właściwości tej jej gałęzi, która ma miano publicznej, a pod której ocenę podpada wojna. Chodziło o wywód tych w warunkach życia społecznego tkwiących przyczyn, które sprawiają, że nasze oceny z zakresu moralności publicznej, a więc w szczególności i nasze sądy moralne o wypadkach wojennych, kształtują się na innych zasadach, niż te, którymi kieruje się jednostka w swych sprawach codziennych. Oznaczanie, jaki konkretny kształt mają przybrać te sądy wobec pewnych rzeczywistych wypadków — a więc znów w szczególności ferowanie wyroku moralnego o obecnej wojnie — nie należy do socjologa. Moralista dowiedziawszy się odeń, w jaki sposób wartości moralne uzależnione są od warunków życia zbiorowego i dlaczego stosunek ten jest dwugłowy, może jeszcze tylko żądać od socjologa wskazania, jakie specyficzne zjawiska wywołuje wojna w życiu społecznym, aby mógł na tej podstawie oprzeć swój sąd moralny o wojnie.

W ten sposób zagadnienie etyczne wojny wprowadza *in medias res* rozważań socjologicznych nad wojną.

II. JEDNOSTKA A SPOŁECZNOŚĆ W CZASIE WOJNY.

Jednym z pierwszych zagadnień nasuwających się z punktu widzenia socyologicznego są zmiany wywołane przez wojnę we wzajemnych stosunkach jednostek i społeczności.

Z problematem tych stosunków spotykamy się w naukach społecznych bardzo często i to spotykamy w różnych formach: jaki jest wpływ jednostki na społeczność i naodwrot, co zawdzięczają sobie wzajemnie, jak daleko mogą posunąć się ich wzajemne żądania, jak — osądzając pewien zamknięty już kompleks wydarzeń — podzielić role twórcze i zasługi, co uznać za dzieło jednostek, a w czym widzieć pracę społeczności itd. Zarazem zagadnienie to należy do rzędu tych, z którymi po mozolnem a bezskutecznem trudzeniu się nad ich rozwiązaniem próbowano załatwić się przez usunięcie, wykazując mianowicie nielogiczność tkwiącą już w samym ich sformułowaniu. Wykazywano, że wyodrębnianie pojęciowe jednostki i przeciwstawianie jej społeczności jest pozbawione wszelkiego sensu, bo pojęcie jednostki jako czegoś w istocie swej oryginalnego jest sztuczne i jako takie nie nadaje się do żadnej owocnej operacji myślowej. Człowieka bezwzględnie aspołecznego, t. j. takiego, na którego psychice nie wyryłoby życie społeczne żadnych śladów, nie znamy z doświadczenia ani historycznego ani aktualnego; nawet człowiek tak zwany dziki jest już produktem pewnego minimalnego życia zbiorowego. Osobnik ludzki żyje zawsze w grupie. A nawet gdy usuwa się w samotność, gdy pragnie uchylić się od nieznanych mu wpływów życia gromadzkiego, to i ta jego samotność jest uzależniona od życia społecznego, które wpływa na jej treść siłą poszukiwanego w niej kontrastu (S i m m e l). Człowiek poddany nieustannie wpływom otaczającej go zbiorowości, nie mogący nigdy uciec od niej zupełnie, jak gąbka

wchłania w siebie od pierwszej chwili świadomego bytowania — poprzez wychowanie, naukę, szkołę życia — pierwiastki myślenia zbiorowego i uczuć zbiorowych. Obraz jego duszy staje się w ten sposób skróconem odbiciem prądów, nurtujących w społeczności i każdą jej część składową można — czy to ze względu na jej pochodzenie, czy ze względu na jej cel lub wreszcie możliwość objawienia się — wprowadzić w zależność od pewnych cech czy składników ośrodka społecznego. Jakżeż więc przeciwstawiać jednostkę społeczności, jak oddzielać ich znaczenia, skoro jednostka jest w istocie rzeczy tylko pewną formą objawiania się społeczności?

Rozumowanie to jest i słuszne (w swych podstawach) i — przede wszystkim — pożyteczne. Wykazując mianowicie nieustanną a dobroczynną zależność osobnika od otoczenia społecznego, uświadamiając mu, że dopiero to otoczenie stwarza arenę, na której mogą rozwinąć się cenne właściwości jego duszy, uczy skromności, usuwa pseudo arystokratyczną pyszałkowatość i tę nieznośną adorację »własnej« jaźni, która egoistycznego kultu osobistych zachcianek chciałaby uczynić szanowną mądrość życiową. Udziela natomiast zrozumienia, że rozwijanie osobowości jednostkowej może odbywać się tylko drogą okólną przez mnożenie dóbr społecznych. Skoro bowiem jednostka rozwija się w ten sposób, że ciągle czerpie coś z ogólnego skarbcza doświadczeń i działań społecznych, to przecież społeczność, jeśli nie chce skazywać się na uwiąd z wyczerpania, musi żądać od jednostki, ażeby wzamian za to, co bierze z kapitału społecznego, dorzucała doń coś od siebie. Rozumowanie to zatem, budząc poczucie obowiązku wobec społeczności, jest podstawowe dla moralności publicznej.

Mimo to jednak, jakkolwiek bądź słusznem i w zasadzie pożytecznem okazywałoby się dowodzenie, że nielogiczne jest przeciwstawianie jednostki społeczności, to przecież najsubtelniejszą nawet dyalektyką nie można rozdyktować na nic

poczucia, że jest przecież w jednostce coś, co sprawia, że nie jest ona rozpuszczalna bez reszty w społeczności. Zgadając się rozumowo z dowodzeniem o kształtującej jednostkę a nierozzerwalnej zależności od społeczeństwa, nie możemy jednocześnie oprzeć się uczuciu, że, posunięte zbyt daleko, dokonywa ono pewnego zubożenia nas, że zdziera z jednostki te wartości, które niejednokrotnie wydawały się jej najcenniejszymi, te mianowicie, które stanowią podstawę niezamierności indywidualu. Nawet ludziom najbardziej demokratycznie usposobionym i kierującym swe upodobania ku masom, droga jest świadomość, że mają w sobie pewną odrębność, że na polu ich świadomości rozoranej wzdłuż i wszerz wpływami społecznymi stoi jakaś własna ich zagroda i z odrębności tej pragną uczynić sanktuarium, do którego mogliby chronić się, gdy chcą czuć się tylko »sobą« i w sam na sam z myślą własną tylko pozostawać. Obraz Kartezjusza, który poznałszy nicość swych dotychczasowych pojęć, cofa się w zacisze wiejskie, by rozburzyć gmach tego, co dotąd było jego wiedzą, a na jego miejsce wznieść nowy w ł a s n y, zawsze będzie uwodził urokiem antytezy — tu zgiełkiwie, a w pozomości upływające życie gromadzkie, tam uczony w skupieniu ducha pochylony nad głębią wielkich zagadnień — i będzie utrwał pragnienie cezury między nieporównalnością jednostki a roztopiającą w sobie wszystko społecznością. I chociaż dowodzone nam niejednokrotnie bardzo umiejętnie, że tak zwani »wielcy ludzie« urosli w rzeczywistości tylko dzięki możliwościom, które znaleźli w swej społeczności, chociaż zapewniano nas solennie, że możnaby napisać historię, nie wymieniając żadnej osobistości, to jednak ani nie napisano dotąd takiej historii, ani też z pewnością nie zaspokoiliby ona w zupełności tego zainteresowania, które budzą w nas dzieje. Mimo wszystkie argumenty zaciekawienie nasze pragnie wiedzy o ruchach w podłożu społecznym, ale zahacza się także

o jednostki. Jest nawet wybitna sprzeczność między istniejącą w nas pogardą dla bezmyślnego tłumu, idącego owczym pędem za przywódcą, a podziwem, który budzą w nas owi przywódcy, jeśli potrafią za sobą porwać tłum ku czemuś wielkiemu. Na cóż zdałby się geniusz wodza bez tego potężnego instrumentu, którym kieruje? I ta sprzeczność jednak nie zmienia naszego sposobu widzenia. Przywódcy i tych, którym przewodzi, nie ujmujemy myślą w jedną całość, jakby nakazywała teoria ściśle społecznego pojmowania człowieka, ale ich wyodrębniamy i jednego i drugich pojmujemy jako odmienne elementy. *)

Ostatecznie więc kresem ustępstw, które możemy poczynić, jest przyznanie, że można wprawdzie rozłożyć jednostkę — jej pojęcia, jej zachowanie się i jej dzieła — na szereg elementów wyłomaczalnych społecznie, że jednak pozostaje zawsze jeszcze pewne *x* pochodzące z fizyologicznego ustroju danego osobnika oraz pozostaje przede wszystkim niepowta-

*) Może najlepszą ilustracją kultu bohaterów nie dającego wytepić się żadnym rozumowaniem jest nasz stosunek do Napoleona. Wiemy, jak wielce zawdzięczał on swe wyniesienie rozpętanu uwięzionych doówcześnie sił społecznych, dokonaniem przez wielką rewolucję. Wiemy, jak za nic miał życie dziesiątków tysięcy. Wiemy, jakie strumienie krwi rozlewała ambicja jego po Europie. Wiemy szczególnie my, jakim narzędziem byliśmy w jego ręku. Mimo to, któż oprze się urokowi tej postaci, któż nie uzna, że było w nim coś, czego nie można wprowadzić w żaden stosunek funkcjonalny do sił społecznych? Jak ci żołnierze gnani przezeń we wszystkie strony świata wśród najgorszych mozołów i udręczeń, jak ci żołnierze poświęceni bez skrupułów, sterani doszczętnie, a przecież zawsze pełni fantazyi, z ostatniem technieniem wyrzucali jeszcze swoje »Vive l'Empereur«, tak i nam wszystko, co wiemy o nieszczęściach, któremi znaczył się ślad Napoleona, nie może odebrać podziwu dla nieporównalnego — iście jednego — geniuszu Napoleona, który z idącego za nim w ślepym zachwycie żołdactwa umiał wydobywać nie tylko piękno poświęcenia, ale także piękno tego pysznego gościa, którego symbolem pozostał żołnierz napoleoński.

rzający się nigdy taksamo rodzaj i natężenie tej kombinacji owych elementów, która zachodzi w konkretnej jednostce. Mogą być zatem — i są — wytłomaczalne społecznie wszystkie, lub prawie wszystkie składniki, ale niewytłomaczalną pozostaje całość, która jest czemś więcej, niż tylko sumą swych komponent. Tą drogą powstaje możliwość przeciwstawiania zakresu społecznego zakresowi jednostkowemu, jako obejmującemu objawy, na których skryształizowana w danej osobie kombinacja wpływów życia zbiorowego, nie dająca się ściśle zdeterminować przez dane społeczne i wskutek tego nigdy w tejsamej formie nie powtarzająca się wyciska pewne indywidualizujące je piętno.

Dwa te zakresy w praktyce życia krzyżują się nieustannie, a jednym z powodów odmienności ukształtowania się życia społecznego w różnych społecznościach jest właśnie niejednostajność sposobów ich pogodzenia, nierównomierny rozkład ich udziału w całości złożonej z obu. Różność tego rozkładu — zależnego od warunków, czasu i miejsca danego pożycia społecznego i od materiału ludzkiego w nim uczestniczącego — może iść tak daleko, iż stwarza dwa typy społeczności. Weźmy za przykład Rzym i Grecję. Rzym kraj silnie rozwiniętego zakresu jednostkowego, kraj posągowych postaci o dumnym poczuciu wartości osobistej, zazdrośnie strzegących tej pełni ambitnej siły, która mieściła się w każdym *civis romanus*. Rzecz charakterystyczna, że najwyższy twór ducha rzymskiego, ten, którym duch ów żyje po dziś dzień — prawo rzymskie — przesiąknięty jest indywidualizmem, który później, gdy prawo rzymskie przeniesiono w inne otoczenie, ustępować musiał przed tkwiącym w prawie germańskim pierwiastkiem społecznym. Grecja natomiast — zwłaszcza w swej południowej, doryckiej części — kraina / przewagi zakresu społecznego, przewagi posuniętej w Sparcie aż do zupełnego zagarnięcia jednostki w służbę zbiorowości i do

spalenia wszystkich indywidualnych pragnień w jednym wielkim ogniu poświęcenia się dla społeczności. W Grecyi »polis jest władzą zwierzchnią, rozporządzającą osobami i mieniem wszystkich swych członków, człowiek jest pochłonięty przez społeczność tak, jak był pochłonięty na Wschodzie przez kastę i przez wyższe władze religii i natury« (A h r e n s). Grecki to przecież myśliciel, jeden z największych, jakich wydała ludzkość, chciał usunąć z idealnie urządzonego państwa poetów, ponieważ utworami swymi odwodzą od realizmu życiowego, który domaga się od obywateli wyteżenia wszystkich wysiłków ku pomnażaniu dobra społecznego.

Zarazem jednak przykład ten dowodzi, że jeśli języczek u wagi, na którą położono zakres jednostkowy i zakres społeczny, może przesunąć się raz na jedną, raz na drugą stronę, to jednak nie powinny to być znaczne przesunięcia poza linię równowagi. Tylko gdy niema wielkiego odchylenia, gdy nie zachodzi dysproporcya między zakresem jednostkowym a społecznym, może społeczność urastać w moc i rozwijać się wszechstronnie. Jeśli Rzym był wielki, to dlatego, że miał obywateli przepełnionych wprawdzie pragnieniem własnego znaczenia, ale odczuwających także silnie potrzeby zbiorowości i umiejących składać takie dowody przywiązania do sprawy ogólnej, do rzeczy pospolitej, że pojęcie niezłomnej miłości wspólnoty ojczystej wiąże się z imieniem rzymianina. Jeśli Grecya zachowała sławę, to dlatego, że wiążąc swych synów silnymi więzami społecznymi, pozwałała im jednocześnie rozwijać właściwości jednostkowe do tego stopnia, że dziś jeszcze wielu z nich składamy hołd, jako niedoścignionym mocarzom myśli, czy słowa, czy dłuta*). Tak więc należyte

*) Potwierdza konieczność należytego szarmonizowania obu zakresów fakt, że żadnego z ludzi, których dzieła zachowały trwałą wartość dla kultury, nie wydała Sparta, gdzie zakres społeczny rozrósł się jednostronnie.

pogodzenie obu zakresów jest postulatem pomyślności i cenności rozwoju społeczeństwa.

Prawdę tę powinniśmy my przemysleć tem dokładniej, że nie co innego, jak właśnie niemożność odpowiedniego ustosunkowania zakresu jednostkowego i społecznego, wywołało spadek sił obronnych polskich i rozkruszenie się opoki, na której zbudowana była Rzeczpospolita. W ewolucyi nieszczęsnego *liberum veto* odbija się dziejowe zmaganie się tych dwóch zakresów i ostateczne fatalne zwycięstwo pierwszego nad drugim. Ziemie polskie nie tworzyły organicznego zrostu, ale kompleks dzielnic, posiadających w różnym stopniu poczucie swej odrębności. Dopóki jednak to poczucie bywało równoważone przez tendencje dośrodkowe, przez świadomość potrzeby ofiar na rzecz tego, co dziś nazywamy koniecznościami państwowymi, dopóty nie mogło ono rozwinąć swej siły rozsadzającej. *Liberalum veto* było wówczas tylko wyrazem skrajnie rozwiniętej decentralizacyi i do ostatecznych konsekwencyi posuniętego równouprawnienia wszystkich ziem: dane ono było mianowicie posłowi nie *ad personam*, ale jako pełnomocnikowi swego koła wyborczego bezwzględnie związanemu instrukcją. Sprzeciw posła nie był jego osobistym sprzeciwem, ale opozycją całej tej ziemi, którą reprezentował, a która tylko wówczas uznawała uchwałę sejmu, gdy na nią przez usta posła wyraziła zgodę (postulat jednomyślności uchwał sejmowych!). Owóż dopóki tendencje dośrodkowe — mimo niebezpieczeństwa grożącego wskutek skrajnie rozwiniętych prowincjonalizmów — utrzymywały w zdrowiu państwowy organizm Polski i czuwały nad należytem zadośćczynieniem potrzebom pierwiastka społecznego, dopóty *liberalum veto* stało tylko na straży równego traktowania interesów wszystkich ziem i nie wyradzało się w narzędzie zaspakajania czysto osobistych popędów jakiegoś posła. Droga była niewątpliwie śliska, ale jeśli ktoś w ó w c z a s na nią wstąpił, spotykał się

z reakcją silnego jeszcze pierwiastka społecznego: veto skreślające zbyt ku zakresowi jednostkowemu miało — przekrzywane — bezskutecznie, mimo wszelkich zabezpieczeń konstytucyjnych. Praktykowane ewentualnie w takich wypadkach wypieranie z izby poselskiej nazbyt indywidualistycznie usposobionego posła było rubasznym odruchem zdrowego jeszcze organizmu społecznego, broniącego swej spójności przed próbującym wsączyć się weń jadem. Dopiero w miarę jak traciły moc zespalającą siły dośrodkowe, w miarę jak poczucie obowiązku wobec całości społecznej przestawało być dostateczną przeciwwagą rozbujania się sobiepaństwa jednostkowego, jak — krótko — kurczył się zakres społeczny, stało się liberum veto dogodnym wehikułem niedostatecznie krępowanych, a więc rozkładowych pierwiastków jednostkowych. Dopiero wówczas zyskało ono te cechy potworności, któremi wryło się nam w pamięć, stało się symbolem rozsadzania społeczności przez rozpasaną, ponad wszelką miarę rozrosłą jednostkowość *).

Tem ważniejsze też jest dla nas rozpatrzenie zmian, które wywołuje wojna we wzajemnych stosunkach jednostki i społeczności, że i po katastrofie rozbiorowej nie umieliśmy doprowadzić do należytego ustosunkowania zakresu jednostkowego i społecznego i nie umieliśmy przez odpowiednie wzmocnienie instynktów dośrodkowych usunąć rozproszkowania sprawiającego, że w naszym życiu publicznym, zamiast zwartych szeregów silnych jednolitością współdziałania, spotyka się wszędzie »królów takie tłumy«. Nie potrzeba dowodzić, jak dalece niemożność stworzenia tej równowagi spowodowana była — poza ciężeniem dziedzictwa — brakiem własnej pań-

*) »Upadek Rzeczypospolitej nie był następstwem moralnego spróchnienia narodu. Nie może być mowy o przeżyciu. Nie był to rozkład, tylko rozstrój, nie brak żywotnej siły, tylko brak skupienia«. (Br. D e m b i ń s k i).

stwowości, która, opasując żelazem swej obręczy syplikie elementy społeczne, wpajałaby w nie zrozumienie potrzeb działania zbiorowego. Gdy więc sprawdza się na przykładzie społeczeństwa polskiego wywody o wpływie wojny na wzajemne stosunki jednostki i zbiorowości, do których przystępujemy, należy pamiętać o naszych szczególnych warunkach, wywołanych upośledzeniem w stosunku do tych innych narodów, które od dawien dawna poddane są sile skupiającej własnej jednej państwowości.

Cechą zasadniczą — z punktu widzenia socyologicznego — obecnej wojny jest to, że dotąd żadna inna konflagracja nie rzuciła w takiej ilości i w takim stopniu całości społecznych przeciw całościom społecznym. Gdy dawniej wojna wciągała w swój wir tylko klasę rycerską, reszta zaś odczuwała ją, poza ewentualnem zwiększeniem ciężarów roboczych lub finansowych, b e z p o ś r e d n i o tylko wówczas, gdy nieprzyjaciel wpadł do kraju i groził życiu i mieniu — to z biegiem czasu rozszerza się coraz bardziej zakres warstw społecznych, do których ruch i rozchwianie wywołane przez wojnę docierają bezpośrednio. To rozszerzanie się związane jest z wysubtelnianiem się działania w zbiorowości i wzrostem jego złożoności, jako że w tym procesie komplikowania się i wysubtelniania współdziałania pozycya jednostki we wszystkich uwarstwieniach społecznych staje się coraz bardziej wrażliwą na wszelkie zakłócenia normalnej równowagi w społeczności i odczuwa, dzięki szeregowi rikoшетów i przenoszących się drgnień, skutki zjawisk, których wpływy sięgały dawniej tylko obwodu społeczności. Dziś to splećanie interesów jest już nawet w wielkich organizmach państwowych tak misterne (i to tem misterniejsze, im dalej postąpiła demokratyzacja społeczności), że wszyscy członkowie walczącej zbiorowości — jedni więcej, drudzy mniej,

jedni z korzyścią, drudzy ze szkodą, ale wszyscy j a k o s — odczuwają uderzenie młota wojny.

Powiadam »nawet w wielkich organizmach państwowych«, gdyż w małych społecznościach wyrabia się z natury rzeczy łatwiej różnostronne uzależnienie interesów, ujmujące grupę w całość, która odczuwa solidarnie skutki pewnych wypadków. Odrazu widoczne, że grot wojny może tu z łatwością przeszyć nawskroś całą społeczność. Współdziałających jest stosunkowo niewiele, są oni rozsiani gęsto na małej przestrzeni i wskutek tego linie zawiązywanych między nimi stosunków — a więc i interesów — nie rozbiegają się szeroko i nie okręcają się około różnych niezależnych od siebie ośrodków, ale obracają się w obrębie ciasnego koła i mogą wiązać tylko nie-liczne punkty, nie rozpraszają swej siły skupiającej. Tak np., gdy społeczność ateńska niemal in corpore opuszcza Attykę przed najazdem Persów, to mamy tu jaskrawy obraz zaangażowania całości społecznej w pewnej akcji. Podobnych przykładów ogarnięcia całej zbiorowości przez wypadki dostarcza obficie historia włoskich państweczek miejskich w średniowieczu. Pod tym względem więc mają niejaką słusność ci, którzy twierdzą, że wojna obecna rodzi stosunki, do których analogię znajdujemy tylko, sięgając daleko wstecz w dzieje. Ponadto zastrzec się jeszcze należy, że twierdząc, iż wojna, której jesteśmy świadkami, rzuca całości społeczne przeciw całościom społecznym, mam na myśli całość tych czynników, które normalnie uczestniczą w życiu zbiorowem danej społeczności. Nie jest więc z tem sprzeczny fakt, że cały szereg podległych Rosyi plemion azyatyckich, wiszących tylko zewnętrznie u obwołu jej olbrzymiej państwowości, może zachować zupełną obojętność wobec zapasów, od których idzie wstrząs na całą rzeczywistą społeczność rosyjską. Wreszcie: nie ulega wątpliwości, że to współczesne wciągnięcie przez wojnę całej wielkiej zbiorowości w sferę wpływu jest w ol-

brzymiej mierze spowodowane powszechnością obowiązku służby wojskowej i powstających wskutek tego wyrw w każdej niemal komórce społecznej. To też twierdzenie nasze wymaga pewnego osłabienia w zastosowaniu do Anglii. Ale też udział bezpośredni Anglii w tej wojnie nie może być postawiony na równym stopniu z udziałem innych państw wojujących i wyniki rozważania socyologicznego skutków wojny w tych właśnie innych państwach, gdzie machina wojenna pracuje pełną parą, nie mogą być bez ograniczeń stosowane do Anglii, której obecna stawka w tej olbrzymiej grze jest bez porównania mniejsza.

✕ Uwikłanie całej zbiorowości we wojnę tem się objawia, że wszystkim członkom społeczności (choć nie wszystkim w tej samej mierze) grozi niebezpieczeństwo — już to bezpośrednio, już to pośrednio przez niekorzystną zmianę warunków bytu w razie niepowodzenia oręża swojackiego — i że wskutek tego wszyscy powołani są do dania odporu niebezpieczeństwu idącemu na oślep. ✕ Każdy jest jakoś wciągnięty we walkę i zainteresowany jej wynikiem, każdy jest stroną, nikt tylko w i d z e m. ✕ Nawet umysł najbardziej odwrócony od rzeczy ziemskich nie może dziś tylko »z założonemi na piersi rękami« czekać, aż wypełni się przeznaczenie. Pojawiają się nawet głosy (S é c h é), nie pozbawione całkowicie uzasadnienia, że podział na kombatantów i niekombatantów jest przestarzały i powinien być porzucony w teorii, skoro praktyka życiowa przeszła już nad nim do porządku. W rzeczywistości cała społeczność jest jednolitym podmiotem i przedmiotem walki. Kilka przykładów. ✕ W ogromnych zakresach zajęcia z wyglądu »cywilne« i sprawowane przez ludność cywilną, często nawet przez kobiety, mają w rzeczywistości cel czysto wojenny. ✕ Weźmy przemysł wyrabiania broni i amunicji, przemysł komunikacyjny, wogóle wytwarzanie i dostarczanie wojsku wszelakich artykułów jego potrzeb — masy ludności nieumunduro-

wanej zajęte przy tych gałęziach produkcji pracują na wojnę, a więc powinny być zwalczane. Weźmy poruszenie aktualne stanu gospodarczego we wojnie i zagrożenie przez nią przyszęłego stanu, które dotyczą każdego członka walczącej zbiorowości. Zważmy najazdy powietrzne, przy których rzuca się pociski na objekty wojskowe, ale trafia także niewojskową ludność. Przytoczmy wreszcie taktykę wygłodzenia, w której najwyraźniej chyba przejawia się skierowanie ataku przeciw całej społeczności bez rozróżniania.

Pod względem tego wszechogarnięcia zbiorowości przez wojnę pozbawiona jest zupełnie znaczenia kwestya, która na początku wojny bywa szeroko rozstrząsana, czy mianowicie wojna jest z punktu widzenia danej społeczności zaczepna czy odporna. We wojnie bowiem najwłaśniejsze ma znaczenie zasada, że cios zaślania najlepiej, a następnie odwieczną koleją rzeczy każda obrona masowa przechodzi — gdy może — w mściwą odpłatę. W ten sposób następuje zrównanie między społecznością atakującą a społecznością odpierającą, bo pierwsza musi być przygotowana na odwet w razie niepowodzenia ataku, druga zaś pragnie w ofensywie szukać obrony. Przy takim stanie rzeczy idealne ułożenie się współdziałania w społeczności wojującej na tem polega, by gdy jedni uderzają, inni — do tego niezdadni — podtrzymywali w tamtych zdolność uderzania i swą cywilną robotą chronili przed urojeniem owoce śmiertelnych trudów żołnierskich. W obecnych tytanicznych starciach, w których na hazard wojenny rzucone są losy milionowych rzesz społecznych, staje się solidarne złączenie wysiłków przez wszystkich do jednego wspólnego ciosu najistotniejszym warunkiem utrzymania bytu społecznego i jego dalszego rozwoju. Skoro zaś jest takim warunkiem, to jest też w każdej żyć pragnącej społeczności najbezwzględniejszym postulatem.

Okazuje się, że stanowisko, które wszystkie społeczności

występujące w szranki zajęły impulsywnie zaraz w pierwszej chwili wojny, to momentalne rozżarzenie się jedności społecznej do białości — na przekór pesymistycznym przewidywaniom — nie jest wynikiem tego sugestywnie udzielającego się podniecenia, które wytwarza się zawsze, gdy masy występują do akcji i które szybko wyparowuje. Było ono przedmiotowo zdeterminowane warunkami, wśród których odbywa się dziś walka o byt społeczności, tym postępowaniem uspołecznienia, który tak znakomicie wyczerpił wzajemne uzależnienie członków zbiorowości i uczynił z nich całość solidarnie zainteresowaną wynikiem zapasów. Dziś uczucie zmęczone długotrwałą wojną nie jest już tak instynktowo czujne na potrzeby ówczesnej sytuacji i niejednokrotnie nie komunikuje już bezpośrednio ich zrozumienia. Ale rozważenie krytyczne wskazuje, że ówczesna reakcja uczuciowa była zdrowa.

W tem oświeceniu nabiera dopiero właściwej barwy pochłonięcie jednostki przez społeczność we współczesnej wojnie. Ze strony zbiorowości nie jest to zapędzenie jednostki po niewoli do służby w obcej jej sprawie, ale zrozumienie, że los współczesnego społeczeństwa we wojnie osadzony jest na barkach wszystkich, że więc wszyscy zainteresowani tym losem są powołani i potrzebni. Ze strony zaś jednostki rezygnacja (czasowa zresztą) z szeregu dokumentacji swej indywidualności nie jest wynikiem chwilowego upojenia własną ofiarnością, nie jest rzuceniem się głową na dół we wezbrane fale ogólnego roznamiętnienia, lecz jest to — o ile posiada ona zrozumienie rozliczności i rozgałęzienia wpływów, na które wystawione jest jej położenie w nowoczesnym życiu zbiorowym — poddanie się konieczności panującej nad bytem osobnika, bytem tak wtopionym w społeczność, że odczuwa mikrokosmicznie wszystko to, czego makrokosmicznie doznaje społeczność. W ten sposób z jednej strony może napięcie żądań społeczności wobec jednostki dochodzić do maximum,

jakie tylko możemy sobie wyobrazić, a mimo to nie razić jednostki i nie budzić bezwzględnością swą jej reakcyi, gdyż postulaty te spowite są w łagodzącą ich ostrość powłokę i n t e r e s u w ł a s n e g o jednostki, która rozumie, że jej *res agitur*. Z drugiej zaś strony ochrona własnego interesu pokrywa się podnoszącą ducha świadomością, że nie jest to tylko egoistyczne stanie na straży swego, ale jednocześnie trwanie na placówce w służbie sprawy publicznej. Ta transcendencya poza ciasny zakres jednostkowy, sublimizacya egoizmu przez możność zastąpienia tonu osobistego interesu wielką harmonią dobra wspólnego, to, że — jak mówiło objaśnienie pod obrazkiem w którymś z pism ilustrowanych — może ojciec synkowi pytającemu go, dlaczego idzie na wojnę, odpowiedzieć: »dlatego, byś ty nie potrzebował iść na nią, gdy będziesz miał lat 20« — to wszystko nadaje dopiero działalności wojennej wartość moralną, podstawiając za motywy skurczone do prywaty szeroki widnokrąg względów na ogół i topiąc bezpośrednią interesowność postępowania w ofiarności pracy dla przyszłości. Dzięki temu, że jednostka zasłaniając sama siebie, jednocześnie uderzeniem swem kuje losy swej zbiorowości, opromieniają się jej czyny na wojnie — same przez się barbarzyńskie — umiłowaniem wspólnej sprawy, które jedynie może stwarzać ich legitymacyę i może je wyszlacheć. Toż, jak pisał Krasieński w jednej ze swych rozpraw mistycznopolitycznych, »miłość bez czynów równie byłaby czczą i marną, jak czyny bez miłości okrutnymi i nikczemnymi.«

Zdolność przepojenia się wojennej działalności jednostki altruizmem rodzi jeszcze inne ważne następstwo. Stwarza mianowicie przeciwwagę zniechęceni, które mogłoby być wywołane przez zepchnięcie jednostki do roli pionka ginącego w masie wspólnie działającej i przez pogrążenie jego osobistego czynu bez śladu w ogólnym wysiłku wszystkich. Uczestnictwo

we wojnie cechuje dziś, jak słusznie zauważono, anonimowość, w przeciwieństwie do wieków średnich, kiedy to w potykaniach się rycerzy zabijano się niejako imiennie (S é c h é). Wtedy dzielny czyn jednostki zakarbowywał się widoczną pozycją w ogólnym rezultacie, dziś równe bohaterstwo mija niepostrzeżenie jako część drobinowa, która dopiero współ z milionem innych stworzy jakies znaczące przesunięcie na widowni wypadków. Otóż ze świadomości, że wartością moralną, solidarnem oddaniem wysiłku pod źniwo przyszłości, dzisiejszy wojenny czyn indywidualny wyrasta ponad pozorną znikomośc swego skutku, czerpie jednostka zadośćuczynienie za to, że szczegół jej działalności rozplywa się we mgłę akcji masowej i tonie w głuszy.

Mamy zatem dwa fakty, których nie można spuszczać z oka, gdy analizuje się stosunek jednostki do społeczności w czasie wojny, a które powinny działać tłumiąco na powszechną skłonność do przypuszczania, że wojna grzebie zakres jednostkowy pod brzemieniem rozrosłego bezgranicznie zakresu społecznego. Pierwszym faktem jest, że wskutek rzućenia przez wstrząśnienie wojenne na kartę także ściśle osobistych interesów jednostki i wskutek uzależnienia od wyniku wojny widoków jej rozwoju osobistego, jednostka może zachować świadomość, że walczy o s w o j ą sprawę życiową, o krąg interesów zabarwiony przez jej własną osobowość, własne umiłowania, własne dążenia i tą świadomością może ratować swój indywidualizm przed zalewem niwelującej masowości. Drugim faktem jest, że jednostka, przykładając rękę do wielkiego swą świętością dzieła obrony wspólnoty, może skrzepić poczucie swjej wartości i wynieść ducha na wyżyny zadowolenia, które daje poświęćenie się.

Dwa te punkty — n. b. o drugim z nich będzie jeszcze mowa w dalszym ciągu — nie pozwalają mi zgodzić się na zapatrywanie, że we wojnie zostaje zakres jednostkowy zu-

pełnie zatratowany. »Wojna — powiedziano — oznacza daleko idące wyzucie osobników z praw i jest wskutek tego stanowczo sprzeczna z indywidualistyczną tendencją rozwojową, która stanowi główną cechę nowoczesnej kultury. Kardynalnym obowiązkiem socjologa jest wskazać na ten skutek socjologiczny wojny i wyrazić głośno i wyraźnie tę sprzeczność z główną zasadą ewolucyjną nowoczesnej kultury, jako prawdę nie dającą się zaprzeczyć« (W. J e r u s a l e m).

Właśnie przeczę. Po pierwsze stwierdziliśmy wyżej, że wojna dostarcza jednostce całego szeregu przeżyć, podnoszących jej samowiedzę. Wojna nastęrcza następnie jednostce sposobności do rozwinięcia właściwości drzemiących w niej, a nie mających możności ocknienia się w ciszy normalnych czasów; uprzytomnijmy sobie, ile bohaterstwa, ile męstwa ofiary, ile różnorodnie czynnej energii wydobyla wojna z osób, których przedtem, stykając się z nimi codziennie, nigdy o to nie podejrzewaliśmy. Wreszcie nie można twierdzić bez zastrzeżeń, że nowoczesną kulturę cechuje tendencja indywidualistyczna *pure et simple*. Niewątpliwie ewolucya życia zbiorowego zmierza ku coraz większemu wyzwalanii jednostki z pęt klasowości i umożliwianiu jej rozwinięcia osobistych kwalifikacyi i wogólności ku umożliwianiu jej jak najpełniejszego wyzycia się bez względu na warstwę społeczną, która ją wydała. Ewolucya zmierza jednak tylko ku usunięciu pewnych apriorycznych a irracjonalnych przeszkód rozwoju indywidualnego, nie zaś ku bezwarunkowemu ubóstwieniu jednostki. Jeśli zatem mowa jest o umożliwieniu jednostce jak najpełniejszego wyzycia się, to nie w tem znaczeniu, iżby miało być dane ujście wszystkim jej indywidualistycznym pociągom, ale w tem, aby każda jednostka miała możność rozwinięcia tkwiących w niej załączków wartości i by w ten sposób nie ginęło w społeczności nic cennego. Okoliczność, że postęp indywidualizacyi polega nie tylko na pogłębianiu

i wysubtelnianiu jednostek w uprzywilejowanych warstwach społecznych ale także na rozszerzaniu zakresu jednostek dopuszczonych wogóle do rozwoju swej osobowości, czyli że postęp ten polega nietylko na wzroście materii zindywidualizowania, ale i na wzroście ilości indywidualizujących się jednostek — ta okoliczność jest rozstrzygająca dla naszego pytania. Oczywiście bowiem dopuszczenie k a ż d e j jednostki do eksfoliacji swych właściwości ma za przesłankę stwierdzoną już dawno przez Kanta konieczność przyznania jednostce tylko takiej dozy swobody, jaka godzi się z rozpostarciem się równej swobody innych osobników. Stąd wyswobodzenie jednostki ma za naturalny korelatyw jej skrópowanie na rzecz analogicznego wyzwalańia innych. Nowoczesna kultura społeczna tem więc się odznacza, że dozwala indywidualności jednostki rozkwitać tylko w ciepłe ognia, w który pewne cechy tej jej indywidualności zostały rzucone na spalanie.

To też, jak stwierdza już pobieżny rzut oka na przemiany życia społecznego w ostatnich latach, postęp indywidualizacji miał dwa oblicza. Szedł mianowicie w parze z postępowaniem uspołecznienia, które na wyzwalańą jednostkę nałożyło jako haracz szereg ograniczeń krępujących jej swobodę w dziedzinach przedtem podległych bezwzględnie jej czysto osobistemu zarządzaniu. Wyliczam przykładowo: mnożące się ograniczenia prawa własności powszechnie przecież uważanego za źrenicę wolności; odbieranie niegodnym rodzicom prawa wychowywania dzieci; robotniczy przymus ubezpieczeniowy; reakcja przeciw liberalizmowi ekonomicznemu itd., itd. Wojna zacieśniając kluby musu społecznego, nie wprowadziła więc nic zasadniczo nowego. Z przykładów powyższych — a przytoczyłem tylko najjaskrawsze — widać, jak życie społeczne i w normalnych czasach zupełnie nie krępuje się tendencją nowoczesnej kultury do rozwoju indywidualizmu i gdzie tego wymaga jego interes, tam wypiera

indywidualizm ze stanowisk, na których władał dotąd absolutnie. Jest to stosunek dwustronny, życie społeczne daje wiele jednostce, ale jej też niejedno ujmuje: dostarcza jej możliwości wszechstronnego rozwoju cennych stron jej osobowości, ale też jednostka musi nawzajem czynić ustępstwa na rzecz kształcenia życia społecznego.

Postęp indywidualizmu nie rozwija się zatem prostolinijnie, lecz idzie kołem poprzez wzmocnienie uspołecznienia. Jednostka pragnie zerwać się do swobodnego lotu. Rzeczywiście w życiu społecznym rosną jej skrzydła. Ale równocześnie życie to pozwala jej tylko wówczas wzbić się w górę, gdy narzuciło jej więzy, dzięki którym może ją znów ściągnąć na ziemię. Jest to więc lot z uwięzią, nie wolnego ptaka. Mówiąc prozaicznie, wzmacnianie pęt społecznych, przymuszanie jednostki do ponoszenia ofiar na rzecz zbiorowości, nietylko nie jest sprzeczne z indywidualistyczną tendencją rozwojową, lecz przeciwnie jest jej warunkiem, tak samo jak posłuszeństwo prawu nie jest sprzeczne z wolnością, lecz właśnie jej fundamentem. Owóż wojna, której wynik, ferując wyrok na los zbiorowości, decyduje także o tem, jak ułożą się jednostkowe ścieżki życia jej członków, sprowadza chwilową egzaltację przymusu zespolenia się, jako że tylko napięcie do najwyższego stopnia zespolenia działalności może w tej chwili zapewnić przyszłość rozwoju jednostek po tejsamej linii, po której szedł on dotychczas. Jest to ta sama metoda okólna, którą życie społeczne w normalnych czasach posługuje się dla umożliwienia jednostce wykształcenia indywidualizmu, a tylko podniesiona do potęgi stosownie do wagi chwilowego zagrożenia. Te nietrwale zrzeszenia się, których wojna wymaga od jednostek, nie są abdykacją indywidualizmu, nie są wstrzymaniem rozwoju indywidualistycznego, lecz tylko przemijającym wzmocnieniem inwestycyi na rzecz właśnie tego rozwoju. Pomędzy wojną

a tendencją indywidualistyczną równie niema sprzeczności, jak między zatrzymaniem się parowozu dla nabrania paliwa a jazdą pociągu.

† Wzmocnionym w czasie wojny wydatkom jednostek na rzecz społeczności odpowiada wzrost dbałości społeczeństwa o jednostki. W zbiorowości naciągającej strunę wymagań wzrasta równocześnie poczucie długu wobec jednostki, zwłaszcza wobec jednostki pod bronią. Żołnierz odczuwa nieustannie roztoczoną nad sobą opiekę społeczności, opiekę uprzytomniającą mu, że nie jest użyty — w sposób piętnowany przez Kanta, jako ubliżający godności człowieczej — jedynie jako środek do celu, ale że stanowi przez fakt swej służby wojennej wartość otaczaną pieczołowitością. Należą tu takie zjawiska, jak: względy okazywane żołnierzowi idącemu w pole; uczucia wobec rannego (nawet gdy znajduje się już na tyłach) przekraczające normalne politowanie dla człowieka nie-domagającego; dążność do wydoskonalenia organizacji sanitarnej; dbałość o pocztę polową, dzięki której żołnierz utrzymuje kontakt ze swą ściślejszą społecznością i czuje się oddalony od niej wprawdzie ale nie w y r w a n y z niej, czyli że zachowuje świadomość swej indywidualnej pozycji w zbiorowości; rozpowszechniony zwyczaj przesyłania w pole darów; opieka nad kalekami dążąca do wykształcenia w nich zdolności do pracy mimo ułomności i odwrócenia od nich w ten sposób klęski życia z jałmużny itd. itd. Wychodząc poza zakres żołnierski i mając na uwadze ludność cywilną w lepszy sposób, ale bądź co bądź też powołaną do bardziej wytężonego i bardziej ofiarnego współdziałania niż w normalnych czasach, dostrzegamy w dziedzinie gospodarczej zwłaszcza rozwinięcie przez zbiorowość działalności protekcyjnej: więc moratoria, więc pomoc ludności dotkniętej klęską wojny etc.

Nie brak zatem czynników, które działają wyprostowująco

na jednostkę przygarbioną ciężarem zakresu społecznego rozrosłego wskutek potrzeb wojny. W żadnej chwili nie odczuwa się tak silnie dobrodziejstwa życia społecznego, w żadnej chwili nie odczuwa mianowicie jednostka tak silnie, że za wspólnie niesione ofiary posiada nawzajem poparcie i ochronę ze strony reszty zbiorowości. Nigdy też nie może tak bardzo, jak w momencie wojny, skrzepić się w jednostce poczucie własnej wartości, nigdy bowiem nie występuje tak wyraziście ważność każdego osobnika jako współczynnika ogólnej siły. Wiadomo, jak dalece na froncie zmienia się stosunek oficera do żołnierza na korzyść tego drugiego. Bo czyn wojenny — mimo że rozmiął się na drobną monetę, mimo że występuje masowo i że laski marszałkowskie dawno już zniknęły z tornistrów — dostarcza k a ż d e m u żołnierzowi piedestału, który go wynosi ponad poziom dotychczasowego życia i ponad poziom dotychczasowej wartości. Niewątpliwie jest każdy i w normalnych czasach j a k i e m s ogniwem w łańcuchu społecznym. Ale mechanizm zbiorowości składa się z takiej ilości kółek i z tak nieraz drobnych, że mogłyby zapodzieć się bez szkody, jako że byłyby natychmiast zastąpione. Brak w takich wypadkach jednostce tej podbijającej ambycję świadomości, że ubytek jej stanowiłby jakąś ujemną pozycję w bilansie ogólnym. Wojna zmienia ten stan natychmiast. Teraz już nikt nie może być zastąpiony, teraz już rzeczywiście ubytek k a ż d e g o wrywa lukę w szeregach. Zbiorowość powołując wszystkich do działalności, nie pomijając nikogo, udziela namaszczenia wartości każdego. Groźna sankcja przepisów o niestawiennictwie jest miarą wartości, jaką zasadniczo każdy posiada w tej chwili. Dzięki niej człowiek, którego życie upływało dotąd niezauważane w cieniu najrozpaczliwszej irrelewaney, występuje nagle na jaśnię, bo uzyskuje z a d a n i e, które nadaje wagę jego obojętnemu dotychczas istnieniu.

Płynąć stąd może dla jednostki bogactwo przeżyć wewnętrznych niedostępne jej w normalnych warunkach. Oto ona, której życie polegało może dotąd na poraniu się z najpowszedniejszymi zagadnieniami, której działalność celami swymi nie wychylała się poza granice ciasnego otoczenia i poza obręb szarych, codziennych zadań, której myśl nawet zaledwo »nad dym ojczystej wioski« wzlatała — czuje, że w wypadkach, których tętnem drży cała zbiorowość, jest siłą czynną, siłą wyrębiającą drogi przyszłości: niedostrzegana dotąd istota uzyskuje m i s y ę. A misya to nie bylejaką, bo jest postawieniem na posterunku w obronie dziedzictwa i w pracy dla przekazania go potomnym. Jakżeż świadomość tego może rozszerzać i rozjaśniać dotychczasowy widnokrąg jednostki, jakżeż może przepęłniać ją nieznanem przedtem a rozpierającym pierś poczuciem własnej wazkości! Nigdy nie może wystąpić tak silnie w jednostce świadomość łączności z przeszłością, która wzywa jej pomocy i z przyszłością, która czeka na plon jej pracy. Ta świadomość zaś jest znów źródłem działającym orzeźwiająco na samowiedzę jednostki, dającym zadowolenie jej indywidualizmowi, mówi jej bowiem, że nie jest ona czemś zawieszonem w pustce — a więc znikiem — ale że wsparta twardo na przeszłości wrasta w przyszłość, z której promieni krzesze sobie aureolę.

Jeśli prawdą jest, że jednostka znajduje n a j d o s k o n a l s z e wyżycie się w twórczości i to twórczości o skutkach nie dodniowych tylko, ale trwały ślad znaczących, to wojna dostarcza sposobności takiego zadowolenia indywidualności szeregowi jednostek, któreby skądinąd jej nie miały. Wojna bowiem nastrecza możliwość tworzenia czynów dla społeczeństwa, a przecież społeczność dopiero perpetuuje twory, które wchłania, ona dopiero udziela im czegoś ze swej nieśmiertelności. Tylko to, co z nas weźmie społeczność i wcieli swój dobytek przekazywany potomności, to, co wpływa

w jakiegokolwiek mierze na jej kształt zewnętrzny lub wewnętrzny (kulturalny) — to tylko z nas przetrwa. Najzupełniej trafnie pisze autor jednej z najciekawszych rozpraw na temat wojny: »Dążności do rozwinięcia osobistości (Persönlichkeitsstreben) nadaje wartość i sens tylko wiara w przetrwanie narodu, który jedynie zdolny jest wyprowadzić działalność rozwiniętej i twórczej osobistości poza granice śmiertelnego życia« (Heyde)*. A nie chodzi tu o jakieś wyjątkowe indywidualności, które siłą geniuszu stwarzają dzieła osobliwej wartości, jako takie wcielane do skarbcza społeczności. Wojna dostarcza właśnie jednostkom z szarego tłumu, jednostkom, których pracowity zresztą żywot obraca się i upływa w poziomym zakresie zadań — możliwości przyłożenia ręki do wielkiego, a trwałego dzieła: budowy przyszłości społeczeństwa. Czy nie może na myśl o tem serce jednostki wezbrać dumą, którejby inaczej nigdy nie zaznało — byle tylko umiała myśleć i lubiła głowę nosić wysoko, czyli była takim obywatelem, jakiego życzyć sobie winna każda społeczność?

Tak więc gwałtowny rozrost zakresu społecznego w czasie wojny nie powinien uwodzić do sądu, że zakres jednostkowy cierpi na tem i że wojna niweczy indywidualizm. Jeżeli chodzi o chwilowe ścieśnienie zakresu jednostkowego — o chwilowe przytłumienie pewnych przejawów indywidualizmu — zgoda,

*) Z rozprawy tej notuję w oryginale jeszcze następujący ustęp nieobojętny dla naszych rozważań: »Der Triumph der Staatsidee . . . ist durchaus oder doch im Bewusstsein der weitaus meisten, die an ihm teilnehmen, ein Triumph des Gemeinschaftsgedankes und des Glaubens an die allem Einzelleben überwertige Nation. Nicht aber ist es der Sieg einer bestimmten Staatsform oder eines bestimmten Regierungssystems. Die Hingabe gilt dem Volke als Realität und dem Staate als Idee. (m. podkr.). Daraus erklärt es sich, dass so viele an der sogenannten neuen »Staatsmystik« teilhaben, die zur realen Staatslenkung in Opposition — sei es äusserer, sei es innerer — gestanden haben.«

nikt nie zaprzeczy, że wojna rzeczywiście sprowadza takie ścieśnienie i przytłumienie. Ale po pierwsze wojna jednostkom nietylko zabiera, ale i daje: szereg mianowicie przeżyć, dających zadowolenie ich indywidualnościom i rozwijających je. Powtóre zaś rozwój społeczny nie dąży do postawienia obok siebie jednostek luzem chodzących i adorujących tylko własne nieskrępowane osobistości, lecz pozwala im wykształcać indywidualności tylko przez zacieśnianie współdziałania i tylko kosztem ofiar na rzecz potwierdzania potrzeb społecznych. Przytem zysk rozwojowy jednostki jest bez porównania większy od ustępstw, których domaga się od niej zbiorowość. Jeśli więc w czasie wojny ustępstwa wymagane przez społeczność przybierają tak wielkie rozmiary, to nie dlatego, iżby miało coś w stosunku zbiorowości do jednostki zmienić się zasadniczo, ale dlatego, że właśnie przyszłe zyski rozwojowe jednostki w danej społeczności są szczególnie silnie zagrożone i że trzeba odpowiednio do natężenia niebezpieczeństwa podnieść intensywność tego samego sposobu, którym osiągało się te zyski dotąd, a którym jest współdziałanie: to, co jednostka daje tu ze siebie — o ile nie przynosi jej doraźnego zysku w postaci wypełnienia zakresu przeżyć i podniesienia ich poziomu — nie jest straconym kapitałem, ale inwestycją.

III. KORZYŚCI SPOŁECZNE WOJNY.

Zastanawia, że gdy podczas pokoju społeczność z nie-licznymi wyjątkami myśli o wojnie, jako o potwornej katastrofie i maluje ją sobie w apokaliptycznych obrazach, zanosząc jednocześnie hymny pochwalne przed ołtarze pokoju, to z chwilą wybuchu wojna zazwyczaj wywołuje powszechny entuzjazm i zyskuje w obrębie walczącej zbiorowości równie wielu zwolenników, jak przedtem miała oskarżycieli. Skąd pochodzi ta zmiana, w jaki sposób żywiona przez dziesiątki lat niechęć do wojny, a nawet obawa przed nią, przeistacza się naraz w zapal dla niej i jej pochwałę? Uczy zaś przytem obserwacya, że ludzie — i to w takiej ilości, że można zjawisko uważać za powszechne — nie mają wojny za *malum necessarium*, a więc nie przyjmują jej jako bezwzględnego zła, pocieszając się jedynie jego nieuchronnością i rezygnacyjnem przeświadczeniem, że skoro Rzeczpospolita w niebezpieczeństwie, trzeba wszystko złe wycierpieć w jej obronie — ale wprost upatrują w niej wartości dodatnie i chwalą ją za ich wprowadzenie w życie społeczne.

Wytłomaczenia, które ma się najbliżej pod ręką, nie są dostateczne. Można mianowicie powiedzieć, że w czasie pokoju następuje rozleniwienie i rozhartowanie, które szukają zachowania wygod, a unikają wytrącenia z wiadomej równowagi i puszczania się na ryzyka; że jednak w egzaltacyi patriotycznej rozplamieniąjącej się w chwili wybuchu wojny nikią te samolubne względy i ustępują radości ofiary dla ojczyzny. Można twierdzić, że zapal do wojny sprowadza się do chęci zyskania dzięki niej pokoju lepszego jeszcze niż ten, którego zażywało się dotychczas. Można wreszcie powoływać się na atawistyczną radość z walki (żołnierz, zwłaszcza gdy młody i gdy przygotowanie ideowe nieci w nim nienawiść do wroga, rwie się do ataku na bagnety, do *corps à corps*, da-

jącego sensacją bójki), na niepospolite podniety, które wojna daje ludziom spragnionym aktywności. Wszystkie te powody też wchodzą tu w grę i też spadają pewnym ciężarkiem na wagę, ale ani nie wyczerpują zagadnienia, ani też nie oświetlają go od głównej strony.

Punktem wyjścia może być charakterystyczny fakt, że to dodatnie ocenianie, którego przyczyny mamy rozebrać, objawia się tylko w obrębie wojującej zbiorowości, że natomiast postronne społeczności trwają przy zdaniu potępiającem. Od korzyści wojny, o które tu chodzi, neutralni są więc wykluczeni. Jest tu po stronie walczących jakaś pozycja, której nietylko niema u neutralnych, ale i której zrozumienie nie udziela się łatwo. Musi ona zatem polegać na momentach zewnętrznie trudno uchwytnych, a wewnętrznie silnie odczuwanych.

To kieruje nasze poszukiwania w stronę zjawisk psychicznych, których pole kończyłoby się z natury rzeczy u rubieży walczącej społeczności. Jakież to mogą być zjawiska?

Co najbardziej skrzepia każdego w niebezpieczeństwie? Myśl o podporze, którą się ma i z której czerpie się środki do przewyciężenia grozy położenia. Co zaś daje podporę jednostce porwanej w odmet wojenny i rzuconej pod młot przeraźliwych wypadków? Wspólne działanie z innymi jednostkami i wzajemna od nich pomoc. Skoro zaś współdziałanie i wzajemna pomoc opierają się — mówię o zjawiskach spontanicznych — na poczuciu wspólnoty społecznej, przeto poczucie to nabiera czasu wojny walnego znaczenia i staje się elementem rozstrzygającym o wartości tak zaczepnej jak odpornej postawy społeczności. To też jego wzmożenie się w chwili, gdy wojna zawisa nad zbiorowością, jest, rzecz można, instynktowną reakcją społeczności i jest też bodaj jej najtęższym pancierzem. Jednakowoż rozpastrywanie wzmożenia się poczucia wspólnoty społecznej ze

strony jego celowości, jego użyteczności w danych okolicznościach, nie prowadzi do rezultatu, którego poszukujemy. Nam bowiem chodzi obecnie o to, co wojna pozytywnie dorzuca do psychicznego inwentarza społeczności, nie zaś o to, czym wojna neutralizuje tylko swe ujemne objawy.

Wartością przez wojnę absolutnie dorzuconą jest nie samo nabrzmienie wspólnoty społecznej, ale to wzbogacenie świadomości, które zeń płynie.

Już od przeszło dwóch tysięcy lat głosi nauka, że człowiek jest istotą społeczną, że społeczność wcześniejsza jest od człowieka, jako że ona dopiero determinuje go pojęciowo i że istota niespoleczna mogłaby być tylko zwierzęciem lub Bogiem — nie człowiekiem. Tak więc poczucie wspólnoty społecznej jest najcenniejszym znamieniem człowieka. Odczuwając więź społeczną, która wyniosła go nad wszelkie stworzenia i uczyniła tem, czem jest, czuje się on najbardziej człowiekiem — arcytworem natury. Właśnie jednak z przyczyny, że poczucie to jest istotnym, więc trwałym, składnikiem psychiki ludzkiej jako takiej, zacierają się jego wyrazistość i wymyka się ono z pod uwagi, jak to wszystko, co nieruchomo trwa w pewnym kształcie i żadną nowością odmiany nie rozbudza świadomości stępiącej w danym kierunku. Jak ciało nie odczuwa swej normalnej temperatury i jak dopiero jej zmiany przedostają się poza próg świadomości, tak i owo uczłowieczające poczucie wspólnoty społecznej, dopóki spoczywa w swym normalnym stanie, nie uświadamia się osobnikowi ludzkiemu i nie rozgrzewa go objawieniem swej cennej wartości, krótko, obojętnym składnikiem duszy ludzkiej. Musi ono dopiero rozkołysać się od wielkiego wiewu wojny, musi być postawione przed zadaniem wymagającym odeń wyjścia z dotychczasowej równowagi, w której zamglona była jego dostrzegalność i zmuszające je do rozmachu, do ruchu, do zdwo-

jenia — i więcej — swej energii, aby zajaśniało przed świadomością i objawiło jej, że jest i to silne.

A więc poczucie wspólnoty społecznej zazwyczaj drzemiące w podświadomości lub słabo tylko tętniące w duszy człowieka (czego nie należy utożsamiać ze słabością jego bezpośredniego działania; nam tu chodzi tylko o odbijanie się tego działania w świadomości) bywa w czasie wojny wskutek swego niepomiernego wzmożenia się przeżywane świadomo i to z wielką mocą. Tu zatem mamy moment wzbogacenia przez wojnę psychiki ludzkiej doznającej przeżyć, których nie zaznawała przedtem. Oczywiście jednak nie wystarczy stwierdzić, że dusza zyskuje nowe przeżycia, główna, że są to przeżycia cenne. Że zaś tak jest, o tem nietylko poucza bezpośrednia obserwacja społeczności, zwłaszcza w pierwszych czasach wojny, lecz można to wywieść dyalektycznie. Toż jeśli poczucie wspólnoty społecznej, której człowiek zawdzięcza swą jaźń i swe wyniesienie, jest klejnotem szlachectwa duszy ludzkiej, tedy gdy spotęgowane przepęlnia pierś człowieka, musi rozpałać jego poczucie własnego dostojęstwa, musi polotowi jego ducha nadawać nadzwyczajny rozpęd. W tym rozplómienu się poczucia wspólnoty społecznej, w której odczuwana przeszłość stapia się z przeczuwaną przyszłością, inaczej mówiąc w rozplómienu się patryotyzmu — które i w normalnych czasach może zachodzić, ale sporadycznie, a teraz występuje masowo i przez to jest socyologicznie interesujące — wydzwiga się człowiek na wyżyny ducha, na których przeżywa podniesienie całego swego jestestwa ludzkiego i czuje się czemś więcej, niż był dotąd: jeśli nie aniołem jeszcze, to bądź co bądź mniej tylko zjadaczem chleba.

Zapewne, że i nad tem zjawiskiem, jak nad wszystkimi innymi, czas zawisa swem brzemieniem, zapewne, że i ono z czasem doznaje alteracji wskutek zmian, które w duszach

ludzkich wywołuje zmęczenie wojną, dlatego to powiedziałem wyżej, że pierwsza epoka wojny dostarcza nam najobfitszych i najbardziej wyrazistych materiałów obserwacyjnych popierających rozwijaną tu tezę. Ale siła niszczycielskiej czasu zjadającego własne plody, ulega wszystko. Jeśli więc zjawisko pewne nie utrzymuje trwale pierwotnej ostrości swych zarysów, jeśli przyćmiewa je późniejszy bieg wypadków, to nie należy go dlatego jeszcze usuwać z pod rozwagi lub znaczenia jego od początku równać ze zerem. Przy każdym badaniu ustawia się rozważane zjawisko w idealnych warunkach, w pewnym wypreparowaniu i uwolnieniu od domieszek mącających w rzeczywistości zawsze jego »czystość«. Taksamo i tu, wpatrując się w chwilę początkowe pewnej seryi zjawisk wojennych i abstrahując od ich dalszego rozwijania się, stwierdzamy fakt wzmożenia się poczucia wspólnoty społecznej i płynące stąd wzbogacenie świadomości ludzkiej. Jeśli zaś w następstwie wzmocnienie to doznaje znów skłębienia, to mimo to ono było, skutki wywarło i dlatego winno być uwzględnione w nauce jako czynnik, który też należy w odpowiednim miejscu i dozie wstawić w ogólny obrachunek. Można oczywiście i trzeba czynić to z różnymi restrykcjami powtarzającymi się zresztą i przy innych zjawiskach — jednakowoż należy stwierdzić jego istnienie i jego wpływ na pojęcia zbiorowości o wojnie, a przeto i zachowanie się zbiorowości wobec wojny. O przetwarzającej roli czasu wobec zjawisk wojennych pomówimy zresztą jeszcze w zakończeniu.

Rozpalenie się poczucia wspólnoty nie jest znaczące tylko ze względu na to, że wyposaża świadomość w nowe cenne wartości i podnosi przez to skalę przeżyć indywidualnych, ale i z uwagi na wpływ, który może wywrzeć na sprawność społeczności i jej wewnętrzne ukształtowanie.

Nie potrzeba dowodzić, jak ważną rolę w walce o byt toczonej przez zbiorowości nieustannie także w normalnych czasach odgrywa spoiść społeczna. Toż ona to stwarza podstawę zwycięstwa, wyprowadzając w szranki zastępy zwarcie współdziałające, czerpiące ze wzajemnego ochotnego wspierania się i siłę i wytrwałość i odporność przeciw tym wszystkim deprymującym sugestjom, którym tak łatwo ulegają sypkie elementy. Owóż chociażby poczucie wspólnoty społecznej, rozgorzałe pod wpływem wstrząsu wojennego, nie utrzymywało się od początku do końca w niezmienionej temperaturze, chociażby wiał nań chłodem bieg czasu, to przecież nawet nietrwałe jego istnienie — o ile tylko nie jest zupełnie przelotne, a doświadczenie uczy, że takie nie jest — ryje w świadomościach członków zbiorowości dość silny ślad, by mogło zeń wyrósć spotęgowanie się spoiść społecznej, dokładniejsze przywarcie do siebie warstw społecznych. Pamięć przebytego wspólnie niebezpieczeństwa, które się zażegnało dzięki silnej spójni wewnętrznej, lub któremu się uległo, ponieważ jej nie było, jest — a przynajmniej może i powinna być — bodźcem do skupiania współdziałania i nadawania w ten sposób ciała społecznemu czerstwości. Jak organizm wyrabia w chorobie odtrutkę, która nietylko neutralizuje aktualne zatrucie, ale niejednokrotnie uodpornia go przeciw podobnym zatruciom w przyszłości, tak ścieśnienie się zwartości społecznej pod naporem niebezpieczeństwa wojennego może, powtarzam i powinno zaznaczyć się dodatnim wpływem na krzepkość organizacyi społecznej już po przebyciu kataklizmu i na jej energię w dalszej walce o byt. Uczy historia, że wpływ ten bywa tem większy, rozmach nadany energii społecznej tem silniejszy, im groźniejsze było niebezpieczeństwo i im większy przeto musiał być pospołu dokonany wysiłek, aby wyjść z opresyi obronną ręką. Świadomość zdziałanego w przeszłości

staje się pierwszorzędnym źródłem mocy na przyszłość. O ileż hartowniejszą musiała n. p. stać się psyche rzymska przez owo z nadludzkiem graniczące napięcie sił zbiorowych, dzięki któremu Rzym dźwignął się i ostatecznie zwyciężył po straszliwych ciosach, które doprowadziły go były nad brzeg zaguby — po Trebii, po Trazymenie, po Kannach? A siły te czerpał przecież nie skądinąd, jeno z uwarunkowanej spoistością społeczną gotowości swych obywateli do oddania się sprawie wspólnej.

Dodatni wpływ wojny może jednak objawić się nietylko przez wzmocnienie poczucia wspólnoty społecznej u tych, w których było ono już przedtem, ale i przez zaszczepienie go tym, którzy go pierwiej nie znali. Ta działalność wojny uwydatnia się oczywiście głównie dopiero w nowoczesnych zbiorowościach państwowych o powszechnej służbie wojskowej, ale też tu rola jej jest pierwszorzędna. Jeśli mianowicie demokratyzacja społeczeństwa — w sensie wciągnięcia jak najszerzych warstw do *s w i a d o m e g o* współdziałania i przeprowadzenia do jak najgłębszych warstw korzyści osiągniętych społecznie — jest postulatem jego rozwoju, to podrzut, którego zbiorowość doznaje od wojny, może pchnąć ją naprzód po drodze ewolucji w górę. Szczególniejszym kontrastem może wojna wywrzeć tem dodatniejszy wpływ w omawianym tu kierunku, im skutki jej są bardziej rozlewne, im głębiej targa za trzewia społeczeństwa. Nie można sobie przecież wyobrazić innego momentu, w którymby równie dokładnie wszystkie warstwy społeczne — mówię o współczesnych stosunkach — zostały wciągnięte w wir wypadków i musiały wspólnie wyteżyć się i wzajemnie podeprzeć, by przetrwać, momentu zarazem, w którymby równie *ad oculos* została zademonstrowana potrzeba i cenność ścisłego a ofiarnego współdziałania. Musi to otwierać oczy na zagadnienia społeczne mnogim zastępom członków zbiorowości, którym dotychczasowe doświadczenia

nie dostarczały wglądu w mechanizm i znaczenie życia społecznego. Musi to budzić w nich i świadomość wartości własnego czynu i uznanie dla tej potęgi, którą wylania z siebie zbiorowość przez celową, a sprawną organizację, przez niewidoczne a misterne i w skutkach swych cudotwórcze zabieranie się milionów kółek rozrzuconych po dziedzinie zbiorowości. Rozszerza się przez to i idzie w głąb społeczności z jednej strony samowiedza jej członków, czyniąca z nich obywateli, którzy pojmują, że prawa ich płyną z tego, co ofiarowują zbiorowości; z drugiej zaś strony wzbiera zrozumienie siły i wartości eudemonicznej, które wytwarza składne współdziałanie prowadzone w imię wspólnego umiłowania i ogniem jego ogrzewane. Inaczej mówiąc: rozrasta się życie społeczne i narodowe, bo warstwy, które dotąd w ewolucyi zbiorowości były tylko zupełnie lub na pół martwym balastem, wprzegają się do pracy świadomej, zorientowanej wedle wspólnych celów i stają się w ten sposób z ciężaru przeszkadzającego rozwojowi rzeczywiście *twórczym czynnikiem życia społecznego i narodowego*. A my szczególnie przecież powinniśmy pamiętać o słowach, które wypowiedział ongi *Supiński*: »Lud nie wpleciony w życie narodowe przechodzi w pokarm każdego państwa«...

Anglicy mają dwie zasady, w których doskonałe odzwierciedla się wysoka spoistość właściwa ich społeczeństwu. Jedna, która powiada *right or wrong — my country*, zawiera w sobie pierwiastki niebezpieczne z punktu widzenia moralności międzynarodynarodowej, bo hoduje najbezwzględniejszy egoizm narodowy (który wyzywa podobny egoizm innych narodów i prowadzi w ten sposób do obniżenia poziomu stosunków między ugrupowaniami ludzkiemi) i bo rozgrzesza wszystkie postęпки zbiorowości w imię płynących z nich dla niej korzyści. Tkwi tu zatem niebezpieczne ostrze zwrócone *na zewnątrz*. W tej chwili jednak interesuje nas inna strona zasady powiadającej,

że »słuszna, czy nie — o mój kraj idzie«, strona zwracająca się na wewnątrz społeczności. W tym kierunku jest ona hasłem udzielającym niezwyklej mocy wszystkim wspólnym wystąpieniom społeczności, hasłem mianowicie wzywającym do karnego ciągnięcia pod sztandar zbiorowości, ilekroć ten sztandar zostanie wywieszony na znak, że wchodzi w grę interes całości. Jest w tej zasadzie wyrażona i rezygnacja z rezonerstwa tak szkodliwego w godzinie działania i gotowość do posłuszeństwa, dzięki któremu zapobiega się rozpraszaniu energii tkwiących w zbiorowości, a umożliwia natomiast ich najpełniejsze i najbardziej celowe wyzyskanie. Mieści się w tem zbawcze zrozumienie kardynalnej prawdy, że rozpada-
jąca się zbiorowość musi gruzami przywalić tych, którzy dotychczas dźwigali ją na swych barkach. Karny obywatel nie ociąga się więc w chwili, gdy sprawa pospolita rzucona jest na szalę, lecz na wezwanie odpowiada: *adsum*. Nie potrzeba rozwodzić się nad tem, jakiej siły i odporności udziela społeczności spoistość sprawiająca, że członkowie zbiorowości stają przed nią zwartym murem zawsze, gdy tego wymaga jej powodzenie.

Druga zasada stwierdza: *England expects everyman to do his duty* — Anglia spodziewa się, że każdy spełni swój obowiązek. Nie chodzi nam tu oczywiście o chępliwość tkwiącą w takim powiedzeniu, ani jak dalece jest ono uzasadnione rzeczywistością życia angielskiego. Interesuje nas tylko, na jakiej podstawie socyologicznej spoczywa to dumne wyrzeczenie, które każda społeczność powinna pragnąć sobie przyswoić. Otóż podstawą tą jest wzmocnienie się i zarazem wyczulenie poczucia wspólnoty społecznej u każdego członka zbiorowości do tego stopnia, że ilekroć spadnie nań jakiś obowiązek, on go bez osobnego pouczenia pozna i bez osobnego nacisku spełni. Powinno być, powtarzam, ideałem każdej społeczności: rozwinąć swą spoistość tak znakomicie,

nad zasklepieniami rozpadlinami w coraz wyższe piętra. Z drugiej okazyje się, że każdy obecny stan jest syntezą zwalczających się poprzednio tez i antytez, że więc walka może być i jest twórcza. Myśl tę rozwinął Gumpłowicz w systematyczną teorię socjologiczną. Nieustanne rozprężanie się potrzeb i pożądlności ludzkich, któremu nie towarzyszy *pari passu* przyrost środków ich zaspokojenia, sprawia, że człowiek usiłuje przemocą zdobyć to, czego by inaczej nie posiadał, a czego braku nie chce cierpieć. Stąd najazd, walka, podbicie słabszego i w ostatecznym rezultacie (w późniejszym okresie) trwałe panowanie zwycięzcy nad zwyciężonym czyli zawiązek państwa. A w państwie — uczy doświadczenie — rozkwita kultura, wojna okazuje się więc tą siłą, która choć chce zła, przecież stwarza dobro.

Tak pojęta moc rodzicielska wojny zanikła dziś już w zupełności; jej objawianie się przypada tylko na wczesną epokę rozwoju społecznego, na czas, kiedy ludzie żyli jeszcze w szczupłych i z rzadka rozsianych zbiorowościach. Tylko wówczas najazd, podbój i zapędzenie jednej grupy przez drugą pod jarzmo zwiększają przymusem niewolnym zawieszonym nad podbitymi ilość wykonywanej pracy i mnożą w ten sposób zawiązki kultury. Starciom wojennym zawdzięcza się też w owym czasie powiększanie się zbiorowości, a wzrost rozmiarów zbiorowości jest — dzięki temu, że on to dopiero następuje zewnętrzną możliwość intensywnego podziału pracy — jednym z warunków wyjścia rozwoju społecznego poza najprymitywniejsze stadyum. Starcia te wreszcie sprowadzają zetknięcie się ze sobą różnorodnych elementów ludzkich dotąd oddzielnie żyjących, zetknięcie przemieniające się w razie podboju w trwałe współżycie, znoszone coprawda przez ujarzmionych poniewolnie, ale bądź co bądź wprowadzające te elementy w zespół kulturalnie produktywny dzięki właśnie różnorodności swych składników.

Dziś te wartości wojen już znikły. Dziś po pierwsze tkwi w warunkach życia dostateczny przymus do pracy i — zwłaszcza — dostateczna pogoń do niej; następnie wielkość nowoczesnych zbiorowości daje im dostateczną możność kulturalnej autarkii; niema już wreszcie w świecie wchodzącym w rachubę, gdy chodzi o rozwój kultury, luk między zbiorowościami i styczość zachodząca między nimi wystarcza dla tej ich współpracy, która jest pożądana z punktu widzenia rozwoju kulturalnego. Dziś zatem twórcze znaczenie wojen w tym kierunku jest już tylko historyczne, nie od rzeczy tu jednak było o niem wspomnieć. Dodać jeszcze tylko należy, że jeśli mimo olbrzymie szczyby, które wojna wyrывa w ludziach i rzeczach, rozwój postępuje naprzód wśród ciągłych zysków dla ludzkości i jej dobytku, to zasługa to jest nie wojen, lecz właśnie stanu pokojowego i tego rozwijającego się w nim wiecznie rzeźkiego pędu życiowego, który sprawia, że ludzkość leczy się z wszystkich ran, dźwiga z każdego upadku i wogóle z wszelkich przeciwieństw wychodzi zwycięsko — choć niejednokrotnie już nawet »jej świeży grób opłakiwano«.

Łączy się poniekąd z poprzednim punktem znaczenie wojny ze względu na wychowawczy wpływ siły.

Gdy patrzy się na siłę, na gwałt fizyczny, jedynie ze stanowiska dzisiejszych stosunków, łatwo potępia się je bezwzględnie, jako sprzeczne z naszymi pojęciami o godności ludzkiej i o supremacji siły moralnej nad fizyczną, jako sprzeczne wogóle z całym naszym, częstokroć czułościowym poglądem na świat. Potępienie takie — w swej bezwzględnej ostrości chybione także ze względu na współczesne stosunki, w których użycie siły fizycznej w postaci kary lub przymusu do świadczeń dla opędzenia wspólnych potrzeb ma stanowczo znaczenie rozwojowo dodatnie — jest zupełnie fałszywe w odniesieniu do wczesnych okresów rozwoju społecznego. Uczeni,

Kant, Ihering, Gumpłowicz i inni, podnosili ze słusznym naciskiem pedagogiczny wpływ siły objawiający się w pierwotnych stosunkach w przyuczaniu jednostek nieuspołeczniczonych jeszcze należycie (a dających dostęp do siebie nauce tylko gwałtem w nie wpajanej) do wzajemnego znoszenia się, współżycia i współdziałania. Siłą trzeba wówczas wypleniać z jednostek porywy hyperindywidualistyczne, których wybuchy grożą rozerwaniem całości; siłą trzeba je zmuszać do potwierdzania tego współżycia, z którego wyrasta kultura. Owóz wojna, wykształcając siłę, która może mieć określone tu znaczenie wychowawcze, zawiera w sobie pierwiastki korzyści, które socjolog winien uwzględnić w swych rozważaniach historycznych^{*)}. A niejednokrotnie wypadnie mu też stwierdzać ich objawianie się i w nowoczesnych stosunkach, a to ze względu na wprowadzanie silniejszego rygoru w życie tych zbiorowości, w których jego brak sprowadza społeczność na pochyłość, wiodącą ku niebezpiecznemu rozprzężeniu.

Mimochodem tylko wspomnijmy o kwestyi częstokroć już poruszanej, a przytaczanej zawsze przez apologetów wojny

^{*)} Słowacki rozumiał, że siła może wyrabiać — przez reakcję — hartowność duszy. Gdy Król Duch kończy, powalony widokiem straszliwej komety, swą pierwszą krwawą wędrówkę życiową, która była jednym wielkim rozpiętaniem sił gwałtownicznych, odprawia swój orszak temi słowy:

»Idźcie, już więcej nie jesteście sługi
Mojej wściekłości, lecz rycerze twardzi.
Kupiłem naród krwią i nad jej strugi
Podniosłem ducha, który śmiercią gardzi.
Niejeden sobie wieśniak wieczór długi
Umili pieśnią i tem się rozhardzi,
Że będzie o swych ojcach przypominał,
Jak śmiało na śmierć szli, gdy król wyrzynał.«

jako silny argument na jej korzyść: o znaczeniu wojny ze względu na jednoczenie i indywidualizację zbiorowości.

Rzecz nie wymaga długich objaśnień. Oczywiście, że *caeteris paribus* — a do pewnego stopnia nawet mimo niekorzystnej nierówności pod innymi względami — ta społeczność zwycięży, która zdoła wyprowadzić do walki szeregi bardziej zwarte, bardziej jednolicie chcące i działające. A że życie, które broni się przed zaturą lub szuka sobie dróg dla ekspansji usiłuje zawsze tworzyć sobie to, co mu w danej chwili potrzebne jest dla jego celów, przeto żywotność społeczności prze do wytworzenia się jednolitości wówczas, gdy — jak podczas wojny — jednolitość ta jest warunkiem powodzenia. Mamy tu objaw, który w odpowiednim pomniejszeniu znany jest każdemu z doświadczenia życiowego, że mianowicie wspólne niebezpieczeństwo — o ile tylko ratunek przed niem nie jest dostępny tylko dla części zagrożonych kosztem drugich (rozbitki na przepelnionej łodzi!), lecz przeciwnie polega na łącznym odporze wszystkich narażonych — stwarza kit jednoczący.

Wzmacniając zaś jedność zbiorowości, wojna urzeczywistnia jeden z warunków indywidualizowania się społeczności: jej wewnętrzne zamknięcie się w pewną całość. Zarazem jednak następuje i drugi jego warunek, którym jest odcięcie się na zewnątrz. Jak siła wyrabia się przez opór, który się jej przeciwstawia, jak przez kontrast uwypuklają się cechy każdej pozytywności, tak potrzeba wyłonienia się czynnego przeciwieństwa dwóch zbiorowości, aby przez zbliżenie się i odpychanie zarazem mogły cechy charakterystyczne każdej z nich nabrać wyrazistości i członkom zbiorowości uświadomić się jako im osobliwie właściwe. Wojna daje najostrzejszą formę przeciwieństwa, a zatem stanowi chwilę najsposobniejszą do wyrabiania się tych wyszczególniających odrębności, w których — nie wchodzimy tu w po-

wody tego zjawiska, ani w stopień jego uzasadnienia, stwierdzamy tylko jego niezaprzeczalną faktyczność — jednostki, osoby czy zbiorowości, dopatrują się cennych swych właściwości. Jako klasyczny przykład tej działalności wojny bywa przytaczane to pchnięcie naprzód, którego proces krystalizowania się narodowości niemieckiej doznał we wojnach napoleońskich, proces zakończony w 60 lat później w starciu się Francji z Prusami.

Kant, któremu tak uśmiechała się idea »wieczystego pokoju« i który jej propagandzie poświęcił słynną rozprawę, widział ogromne korzyści płynące z antagonizmu, ale tylko z antagonizmu wewnątrz społeczności. Warto tu przytoczyć obszernie jego słowa, dlatego że trafiają one pod wielu względami w sedno i że charakteryzują dosadnie tę dwojnacość przeważającej ilości zjawisk społecznych, dzięki której są one sprzeczne z logiczną zasadą identyczności, będąc — skutkami swymi — zarazem *a* i *non a*. Oto jak Kant charakteryzuje znaczenie motoryczne antagonizmu:

»Środkiem, którym natura posługuje się celem rozwinięcia wszystkich swych zdolności, jest ich antagonizm w społeczności, jako że staje się on w końcu przeciw powodem jej prawidłowego uporządkowania. Rozumiem tu przez antagonizm *nietowarzystką towarzyskość* ludzi, to jest ich skłonność do zawierania związków społecznych, która wszelako połączona jest z ciągłym oporem, grożącym nieustannie rozwiązaniem społeczności.« Zbiorowość broni się oczywiście przeciwko rozsadzającym ją pierwiastkom. Człowiek z jednej strony natrafia na opór przeciw własnym tendencjom antyspołecznym, z drugiej zaś sam go stawia podobnym tendencjom innych. Kant trafnie dostrzega, jak w tej ustawicznej grze, w tych ciągłych wahaniach między zaczepnością a odporem, człowiek rozwija swe władze i pokonywa tępe

lenistwo. »Bez owych — z natury swej nie budzących coprawda upodobania do siebie — właściwości nietowarzyskości, z których wypływa opór, na który każdy natknąć się musi z konieczności przy swych egoistycznych uroszczeniach, pozostałyby — w arkadyjsko pasterskim życiu wśród zupełnej zgody, poprzestawania na małym i wzajemnej miłości — wszystkie talenty ukryte na zawsze w swych zarodkach: ludzie dobrotliwi, jak owce, które pasą, nie potrafiliby nadać swemu życiu większej wartości, niż ją posiada to ich bydło domowe... Niechże więc będą dzięki naturze za nieznoszenie się ludzi ze sobą — za ich zawistnie współzawodniczącą pychę, za nie dające zaspokoić się pożądanie mienia lub władzy! Bez nich spałyby wiecznym snem nierozwinięte a wspaniałe zdolności naturalne ludzkości. Człowiek chce zgody, lecz natura wie lepiej, co dobre dla jego gatunku i chce niezgody. Człowiek chce żyć wygodnie i w zadowoleniu; natura chce wszelako, by wyszedł z niedbalstwa i nieczynnego ukontentowania i rzucił się w wir pracy i trudów, szukając zarazem środków, by znów się zeń wydostać. Naturalne pobudki do tego, źródła nietowarzyskości i powszechnego oporu, z których płynie tyle złego, które wszelako podniecają też przecie do świeżego napięcia sił, a więc i do silniejszego rozwoju zdolności danych przez naturę, zdradzają zatem urządzenie mądrego Stwórcy.«

Czy nie nasuwa się tu, że i antagonizm społeczności może odegrać analogiczną rolę? Że może usuwać sufizantyzm, który bezwładem swym kładzie się równie groźnie dla jednostek jak dla zbiorowości w poprzek drogi rozwoju wzwyż, że zawieszając nad społecznością niebezpieczeństwo upadku w bezlitosnej rywalizacji, może pobudzać ją do nieustannego rozwijania sprawności, która, ważna w boju wręcz, wychodzi też na korzyść ogólnego rozwoju kulturalnego społeczności? Kant nie dostrzega tego jednak. Snując marzenia o wieczystym

pokoju, zapomina o tem, że — jak sam stwierdził — nietowarzystwość ludzi, trwająca mimo ich zwierania się w związki społeczne, wywiera błogosławione skutki, że więc, biorąc analogicznie, antagonizm zbiorowości może przetrwać utworzenie ich związków i nawet być korzystny dla dalszej postępowej ewolucji. Uważa przeciwnie, że związek taki oznacza kres roli twórczej antagonizmu, którego miejsce zajmie pokój — dziwna, że nie budzący w Kancie obaw co do swego działania, uprawiającego przez niepotrzebność wysiłków w zgnuszenie.

»Ta sama nietowarzystwość, pisze, która zmusiła ludzi do prawidłowego ustroju społecznego, jest znowuż przyczyną, że każda społeczność posiada w zewnętrznym stosunku, t. zn. jako państwo w odniesieniu do państw, nieskrępowaną swobodę, a wobec tego musi spodziewać się jedna od drugiej tego samego zła, które gniołło ludzi w oddzieleniu i zmuszało ich do wstępowania w prawidłowy stan społeczny. Natura użyła przeto nieznoszenia się ze sobą ludzi, a nawet wielkich społeczności i ciał państwowych, znowu jako środka, by w nieuniknionym ich antagonizmie wynaleźć stan spokoju i bezpieczeństwa t. zn., że pcha ona za pomocą wojen, za pomocą nadmiernego i nigdy nie popuszczającego zbrojenia się do nich, za pomocą ucisku, który wskutek tego każde państwo musi narazie uczuwać wewnętrznie nawet podczas pokoju, pcha początkowo do prób niedoskonałych, w końcu jednak... do tego, co by im rozsądek mógł powiedzieć bez tylu smutnych doświadczeń, a mianowicie do wyjścia z bezprawnego stanu dzikości i wstąpienia w związek ludów... *) Każda wojna jest

*) Kant wskazuje tu leżącą jeszcze chwilowo w krainie marzeń, ale bądź co bądź jedyną logicznie i socjologicznie dopuszczalną drogę, po której mogą poruszać się dążenia pacyfistyczne. Rzeczywiście też głębiej sięgający teoretycy pacyfizmu odrzucają symplistyczne poglądy, że wojny można usunąć przez agitację przeciw zbrojeniom, a wieczysty pokój spro-

zatem usiłowaniem (coprawda nie w zamysłach ludzi, ale w zamysłach natury) stworzenia nowych stosunków między państwami, ... aż kiedyś nareszcie — częścią zewnątrznie przez możliwie najlepsze ułożenie ustroju społecznego, częścią zewnątrznie przez wspólną umowę i ustawodawstwo — utworzony zostanie stan, który, podobny społecznej wspólnoty, będzie mógł sam się utrzymywać, jak automat.«

Powtarzam, że idee Kanta ulegają zakwestyonowaniu, gdyż po pierwsze życie społeczne ujmuje wprawdzie antagonizm w kluby, ale go nie tępi doszczętnie, a przeto i związek społeczny państw nie usunąłby tendencji antagonistycznych. Powtóre, jeśli pokromiony, ale nie stłumiony całkowicie antagonizm jest pożyteczny we wewnętrznym życiu zbiorowości, to czy nie może i w zewnętrznym stwarzać analogicznie wartości? Czy nie może podnosić tężyzny zbiorowości tak, jak wewnątrz społeczności rozwija kwalifikacje jednostki — przez mus pokonywania oporu i podniecie ambicyi? Wreszcie nie widać w doświadczeniu postępu na drodze zwierania się państw w społeczności. Pojawiających się przymierzy niepodobna uważać za objawy integracyi — jak to zwykli podnosić pacyfiści — bo tylko wówczas sąd taki byłby dopuszczalny, gdyby raz zawarte przymierza zachowały się trwale i stawały elementami nowych związków. Tymczasem dotąd dzieje się tak — i to bez prawdopodobieństwa rychłej zmiany — że zawarte przymierza rozpadają się, ustępując miejsca nowym, a tak niema tu rozrastania się, lecz tylko zastępowanie jednych kombinacyi polityki zewnętrznej innymi: robota Penelopy nie postępuje naprzód przez to, że po każdym spruciu poczyna się nowy jej wzór.

wadzić przez nagie umowy międzypaństwowe: powód możliwości wojen widząc słusznie w anarchii panującej wśród zbiorowości politycznych, a którą usunąć może tylko zaprowadzenie związku państw opartego o organizację interesów (A. H. Fried).

Ogólnie mówiąc, twierdzenie Kanta grzeszy tem, że uwiodła go symetryczność zestawienia nietowarzystości jednostek z nietowarzystością zbiorowości, które obie prowadzą (przez nacisk swych niekorzystości) do swej antytezy, a mianowicie do związku — tam jednostek, tu zbiorowości — gdy w rzeczywistości tylko w pierwszym wypadku zachodzi związek w ścisłym znaczeniu, w drugim zaś jedynie współistnienie mniej lub więcej harmonijne stosownie do stopnia zbieżności interesów, a którego spokojność jest zawsze prekaryjna. Pod tym względem analogia jest więc przeciągnięta. Zarazem jednak jest też niedociągnięta, Kant wprowadził bowiem w owo zestawienie różnicę — pożyteczne trwanie antagonizmu, gdy chodzi o społeczność, a jego nieszkodliwe ustanie, gdy chodzi o związek społeczności — które nie są uzasadnione. Kant zawraca zatem bezzasadnie przed zagadnieniem, do którego właśnie wprost prowadzi jego teoria antagonizmu wewnątrz społeczności: przed zagadnieniem twórczej roli antagonizmu ze względu na podniecie do aktywności rozwijającej te siły zbiorowości, które kształcą się tylko przez wytężoną działalność, a które bez takiej działalności albo obumierają, albo wogóle nie wychodzą ze stanu załączkowości. Problem ten tak ważny, że poświęcić mu wypada osobny rozdział.

IV. WOJNA A AKTYWIZM SPOŁECZNY.

Spółeczność — póki żyje — działa. Nie chodzi tu jednak o byle jaką działalność, lecz o tę, którą można nazwać krótko dla porozumienia *dośrodkową*. Jest to mianowicie działalność, która ma za punkt wyjścia głównie potrzeby wyrastające wewnątrz społeczności, która dokonywa się głównie przy pomocy sił istniejących wewnątrz społeczności i której urzeczywistnienie objawia swe skutki przede wszystkim wewnątrz społeczności, jednym słowem pośrodku społeczności znajduje się ognisko orbity, po której krąży. Otóż działalność dośrodkowa zbiorowości miewa różną intensywność i różną jakość. Dwa te jej atrybuty są do pewnego stopnia od siebie niezależne. Intensywność objawia się w ilości wysiłków łożonych przez zbiorowość w pewnych kierunkach. Tak n. p. była ona wielka w kierunku gospodarczym w Królestwie Polskiem od epoki pracy organicznej. Równocześnie zaś jakość działalności była słaba. Tę — w znaczeniu, jakie jej tu nadajemy — mierzy się zdolnością działalności do nadawania organizmowi społecznemu odporności i sprężystości, dwu kardynalnych warunków wzrostu i rozwoju zbiorowości. Z punktu widzenia jakości zatem baczny się na stopień, w którym akcje społeczności zdolne są zapewnić jej pełnię samodzielnego rozwoju, nietylko rozwój częściowy, n. p. gospodarczy — zagwarantować jej wszechstronny rozwój wewnętrzny i należytą proporcję jej stanowiska w stosunku do innych społeczności. Kiedy intensywność działalności może, zwracając się ku pewnym tylko przejawom życia zbiorowego wytwarzać miejscowe niekształtne wydęcia ciała społecznego, które w gruncie rzeczy pozostanie limfatyczne — tak dzieje się n. p. gdy zbiorowość z tych czy innych powodów skrajnie się materyalizuje i wysiłki swe skierowuje jedynie ku zyskom ekonomicznym — to podnoszenie

się jakościowe działalności oznacza skrzepianie się tężyzny społeczności na całej linii, oznacza wzbieranie jej rozmachu życiowego i tej wagi, którą ona posiada w ogólnem ciąguem wazeniu się losów zbiorowości stykających się ze sobą w przestrzeni.

Wpływ wojny na tak pojętą jakość działalności społecznej jest niesłychanie silny. Wojna, której skutki rozpryskują się w nowoczesnej zbiorowości po całości społecznej, smaga swym biczem wszystkie fale, na których płynie życie społeczne, stwarzając konieczność mocnego działania, budzi zarazem chęć i podwaja zdolność do czynu. Już więc z tego gimnastycznego względu wojna działa kształcząco na sprawność społeczności, a temsamem na jej szanse powodzenia w zawodach o byt.

Ale jeśli ten czyn, do którego wzywa wojna, jeśli działalność, która wartkim nurtem rozlewa się nagle po całej społeczności będzie tylko improwizacją, tylko nerwowym podderwaniem się w chwili podniecenia, to, rzecz prosta, nie starczy jej tchu na długo. Musi to być — skoro pierwszy impet nie rozstrzyga wszystkiego i skoro wypadki rozwijają się długą seryą — działalność wytrwała, zasobna w uporczywą wolę i w tęgę środki fizyczne; musi istnieć przygotowany zawczasu rezerwoar sił materialnych i moralnych, z któregooby zdolność społeczności do działania mogła odzywać się należycie. Jeśli w poszczególnych bitwach może odgrywać ważną rolę przypadek — ściślej mówiąc: zbieg okoliczności wymykający się z pod przewidywania dostępnego w danych warunkach — to odkąd rozstrzygnięcie wojny przestało zapadać w jednej wielkiej bitwie, odtąd wynik zapasów zdeterminowany jest systematycznym przygotowaniem: rządzi nimi nie fatalizm drwiący z poczynań ludzkich, lecz właśnie człowiek swą przezornością, swą pracą, swą uporczywą wolą. Wojna sądzi w ostatniej bezapelacyjnej instancji,

o tem, jak społeczność zużyła czas, który był jej dany do rozwoju, wykazując, że o powodzeniu — a więc ewentualnie i o możliwości utrzymania bytu — rozstrzyga jak najszybciej wykształcenie wszystkich (choćby najbardziej pośrednich) czynników życia społecznego i jak najdoskonalszy ich zespół. Wojna poddaje zbiorowość egzaminowi, przy którym niema wykrętów, niema »szczęścia«, lecz przy którym wszystkie błędy mszczą się nieubłagane, wszystkie zaniedbania ujawniają się przeraźliwie.

Wojna zatem nietylko rozwija doraźnym bodźcem sprawność społeczności, pobudzając ją do wytężonej działalności, w której kształcą się siły. Ujawniając konieczność, by sprawność ta była wielka tak w przestrzeni jak i w czasie, czyli by wspierała się na podłożu gruntownego, wszechstronnego i zawczasu dokonanego przygotowania — pozostaje w pamięci jako dobitne memento, skierowujące uwagę ku utrzymywaniu aktywności społecznej na należytych poziomach. Oczywiście ten wpływ wojny ma nierównie lepsze widoki uwidocznienia się w społeczności zwycięskiej, niż zwyciężonej. Klęska bowiem pokonanej zbiorowości może być tak wielka, że podobnie korzenie jej bytu i że społeczności nie będzie już dozwolone wyciągnąć nauki z rozpamiętywania błędów przeszłości i zmądrzeć po szkodzie. Że takie ocknienie się społeczności może przyjść zapóźno, tego najlepszym dowodem historia ostatnich lat Rzplitej, tego odrodzenia, które świtało o zmierzchu. W pełni zatem skorzystać z nauk wojny ze względu na aktywnizm społeczny będzie mogła głównie społeczność zwycięska — byle tylko potrafiła ominąć szkopa, który może unicestwić korzyści płynące z owych nauk. A mianowicie ożywcze działanie wytworzonej przez wojnę świadomości potrzeby energicznej a przezornej aktywności społecznej może ustąpić miejsca rozbudzającemu dumę działaniu przeświadczenia o skuteczności już r o z w i n i ę t e j aktywności (która zabłysła świe-

tnymi rezultatami podczas przebytej wojny właśnie) i rodzić zadufanie w dynamikę rozporządzalnego aktywizmu i tę nie= znośną butę zwycięzcy, która jedna mu i jednoczy wrogów, groźnie utrudniając przez to jego stanowisko w walce o byt *).

Łączy się z omawianą kwestyą zagadnienie, czy powo= dzenie wojenne może być uważane za wskaźnik wartości społeczności. Zwycięskie zbiorowości zwykły przebieg wy= padków rozstrzygnięty mieczem racjonalizować w ten sposób, że przedstawiają swe nabytki wojenne, jako »przysądzone« im przez »sąd historii«, który sprawiedliwie mierzy wartości wal= czących społeczeństw, podając zbiorowość »niezdątną do sa= modzielnego życia«, »wyczerpaną« i t. d. w ręce »zdrowej«, »zdątniej do pomnażania kultury« itp. W ten sposób zdobyc wojenna zostaje sankcyonowana, jako ekspiacya ze strony podbitego popełnionych przezeń grzechów. Ile razy tłumaczono tak Polakom rozbiory! Przyjrzyjmy się bliżej tej argumentacyi.

Nie można odrzucić jej a limine, gdyż fakt, że społeczność uległa we walce, jest niezbitym dowodem jej niższości. Chodzi tylko o to, jakiego to rodzaju jest niższość, czy mogła ona w szczególności u z a s a d n i a ć (czytelnik spostrzega, że po= ruszamy się po samej linii granicznej między socyologią, jako nauką ścisłą, a filozofią życia społecznego) przecięcie sa= moistnego rozwoju ulegającej zbiorowości.

Zagadnienie to nastrocza analogiczne trudności do tych, które powstają przy szukaniu odpowiedzi na pytanie, czy istnieje postęp społeczny. W obu wypadkach chce się wy= ciągnąć szacujące wnioski z porównania odmiennych stanów społecznych — raz współczesnych, drugi raz następczych;

*) Przypomnijmy sobie przestrożę, którą rzucił w „Dniu dzisiejszym“ Krasiński:

Bóg w wolę ludzi rzucił cudów zaród!

Byłe się nigdy w pychę nie spodliła,

W cud się zolbrzymi — wciąż wzrastając czynem.

w obu też wypadkach zawiałość zadania polega na tem, że poszukuje się sądu *en bloc* o zjawiskach, które nie nadają się do takiego wszechogarniającego a przytem ścisłego osądzenia. Weźmy zagadnienie postępu społecznego. Wydaje się on rzeczą niewątpliwą, stanowi bodaj zasadniczy element dumy nowoczesnego człowieka. Toż momentalnie można wyliczyć długi szereg plusów współczesnego życia społecznego w stosunku do jego poprzednich stanów. Ale bliższe wpatwienie się w historię i głębsze zastanowienie się nad aktualnością poucza, że stan współczesny zawiera w sobie obok bezsprzecznych zdobyczy także ujemności, na które nie cierpiała przeszłość, że droga rozwoju społecznego znaczone jest nie tylko nowymi nabytkami, ale także śladem nękających wartości. Czy nie tworzono w zamierzchłej już dziś przeszłości dzieł, na które my dziś nie ośmielamy się porwać? Czy nie oglądano przed wiekami geniuszów, którym równych napróżno szukamy dziś pomiędzy sobą? A nadewszystko, czy wśród udoskonaleń dzisiejszego życia wzrosła doza szczęśliwości ludzkiej, a zmniejszyła się nędza? Pytania, których nie można rozstrzygnąć prostem tak lub nie, lecz wywołujące odpowiedzi pełne zastrzeżeń i odwoływań się do względności. Okazuje się ostatecznie, że zagadnienie postępu społecznego musi być rozbite na szereg drobniejszych problematów, że trzeba życie społeczne rozłożyć czasowo i rzeczowo na serye zjawisk i że dopiero tylko w takich poszczególnych wykrawkach z pełni rzeczywistości społecznej można przedsięwziąć analizę szacującą postęp w obrębie tak ścieśnionego pola badania. W ten sposób zamiast do jednego ogólnego sądu, obejmującego całość życia społecznego, dochodzi się do szeregu sądów partykularnych, obejmujących tylko pewne częściowe dziedziny życia zbiorowego, które zatem oświetlają każdy z osobna pewne parcele rzeczywistości, ale które są nazbyt niewspółmierne, aby można było z nich wyciągnąć sąd o całości, narzucający się siłą

swej logiczności i których orzeczenia zresztą mogą iść w rozmaitych kierunkach: można w jednej dziedzinie stwierdzić postęp, a w innej zastój lub nawet cofnięcie się.

Podobnie ze zagadnieniem niższości wykazanej przez poniesioną klęskę. Po pierwsze, pomimo iż istnieje niewątpliwie wzajemne uzależnienie pomiędzy poszczególnymi gałęziami życia zbiorowego danej społeczności, to jednak posiadają one dość samodzielności, aby schorzałość pewnej z nich nie zawsze musiała pociągać za sobą zmarnienie drugich. Powtórne śmierć nie jest dowodem bezwzględnej niezdolności organizmu do przeżycia. Stąd klęska zapobiegnie ewentualnie możliwej sanacji stosunków w skorumpowanych dziedzinach życia społecznego i zarazem zamknie w zdrowych drogę może światowego rozwoju. Mówiąc konkretnie: pewna zbiorowość ulega drugiej, dlatego że niedostatecznie dbała o moc warunkującą jej samodzielność i imponycję, to znaczy, że nie przygotowała należycie materyalnych środków koniecznych w potrzebie wojennej i nie wykształciła zwartości społecznej i wogóle ducha potrzebnego, aby owymi środkami operować skutecznie a wytrwale. Nie wynika stąd jednak bynajmniej, iżby nie miała ona posiadać innych wartości ważnych dla kultury, które mogłyby i same znakomicie się rozwinąć i dopomóc do odrodzenia także i w tamtych zaniedbanych kierunkach. Jest to zatem tylko upadek w instancyi, nie zaś peremptoryczny dowód ogólnej nieudolności rozwojowej, a przeto i niegodności samodzielnego przetrwania. Geniusz historii, któryby społeczności niezdolne chwilowo — bo nie może być dowodu, iżby to była nieuleczalna niezdolność — do przemagającego wysiłku bojowego wykreślał z rzędu uprawionych do wolnego bytu i rzucał je na nagradzającą żer twę mocnym, odzierałby sam siebie z szat, które mogą mu utkać te społeczności, a które mogą być godne. »Polska, pisze autor jednej z najbardziej przemyślanych książek o obecnej

wojnie (Scheler), miała naturalnie przed pierwszym podziałem formalne prawo po swojej stronie. A przecież wszelki zdrowy rozsądek mówi, że państwo to straciło prawo do bytu, gdyż bezrząd wewnętrzny pozbawił jej wszelkiej godności panowania... Jakżeż inny porządek panuje w pruskich prowincjach polskich, odkąd są pruskie i czy nie leży w tem »wyższa« sprawiedliwość, niżby się znajdowała w orzeczeniu sądu rozjemczego, któryby był chronił formalne prawo Polski przed jej podziałami?« Typowa absolutyzacja zjawisk z natury swej z gruntu względnych. Anarchia w państwie polskiem nie płynęła z organicznej, nieusuwalnej właściwości natury Polaków (pomijam już, że odmawianie Polsce na tej zasadzie prawa do bytu równa się co do zasadności argumentacji skardze wilka na jagnię mącające mu wodę). Nic nie uprawnia do twierdzenia, że przesilenie, w którym łamały się charaktery polskie w ostatnim dziesiątku XVIII. wieku nie byłoby — bez operatywnego zabiegu państw rozbiorowych — zakończyło się obrotem ku odrodzeniu i że wówczas nie urzeczywistniłby się w Polsce porządek może nie tak misterny, jak ten, który Poznańskie zawdzięcza okupacji pruskiej, ale porządek nie częściowy tylko, kształcący nie jedną tylko dziedzinę okaleczonego zresztą życia publicznego, lecz porządek tem dla narodu droższy i tem ważniejszy dla pracy tego narodu na rzecz ogólnego dorobku kulturalnego ludzkości, że złożony harmonijnie z czynników wziętych z wszystkich dziedzin życia społecznego, a przeto wyprowadzający do dzieła całą zdolność i energię twórczą zbiorowości.

Stosunek wojny do aktywizmu społecznego nie wyczerpuje się wszelako w tym, że daje ona bodźca zamaszystości społecznej, a przeto wzmacnia rozpęd rozwojowy zbiorowości i zwiększa zasób jej sił do przyszłej pracy. Wojna nastroicza mianowicie sposobność wygrania w intensywnej dzia-

łałości tych zapasów sił, które zbiorowość zdołała zgromadzić w przeszłości. Stwarza rynek zbytu dla mocy, które społeczność rozwinęła w sobie, ale które drzemały w niej, nie mogąc się ujawnić. Obecnie powstaje konjunktura wytwarzająca ich zapotrzebowanie, a tem samem podnosząca ich cenę. Zmienia się przez to stanowisko społeczności w stosunku do innych, tych mianowicie, które pragną pozyskać jej aktywizm i które gotowe są wzamian zań coś ofiarować. W ten sposób zbiorowość zyskuje możliwość spożytkowania przez działalność swego kapitału energii, może — wedle zasady *do ut des* — siłą swą, posiadającą teraz okazyję ujawnienia się, a przeto też kurtyzowaną i przechodzącą ze stanu potencjonalnego w kinetyczny, forsować swe daremne dotąd żądania.

Można ubolewać nad stanem rzeczy, w którym rozstrzyga surowa siła oręża. Można przeciwstawiać mu pacyfizm, zgodne ułożenie się stosunków pomiędzy zbiorowościami, przy którym prym zapewnia wyższość kultury, nie siła łamie siłę, ale duch pasuje się z duchem. Ale tymczasem daleko jeszcze do tego. Jako badaczów pozytywistycznych obowiązuje nas obserwacja rzeczywistości. Ta zaś poucza, że dobrze jest mieć prawo, ale lepiej mieć za niem siłę. Dopóki bowiem nie znikła z oblicza ziemi możliwość wojen, dopóty potrzebna jest społeczności brutalna tężyzna, siła uderzenia, bo dopóty o zachowaniu, jakim ta społeczność cieszy się u innych, rozstrzyga jej zdolność zagrożenia drugim lub pójścia im w sukurs bojowy. Owóż wojna daje zbiorowości możliwość zyskania sobie tego zachowania ugruntowanego na sile, bo otwierając pole dla jej działalności, daje jej sposobność wysunięcia swej siły jako stawki w grze, w którą uwikłane są interesy społeczności nie doceniających jej potąd.

Jak ważne jest dla roli zbiorowości na teatrze jej współżycia z innymi to otwarcie przez ruch wojenny wrót akty-

wizmowi społecznemu, o tem pouczają chyba najdobitniej dzieje sprawy polskiej w wieku XIX. Od rozbiorów nie brakło w Europie hymnów sławiących wielkość Polski w cierpieniu. Nie brakło pochwał wierszem i prozą, patetycznych uznaj jej praw i pobożnych życzeń naprawy jej krzywd. Były to deklamacye — nieraz piękne, zawsze pozbawione konsekwencji.

Liczono się rzeczywiście z Polakami tylko wówczas, gdy możliwość efektywnego zużycia ich siły wstawiano w swe rachuby polityczne, gdy usiłowano siły te sprzymierzyć ze sobą i wciągnąć je do prowadzonej przez siebie walki. Wówczas tylko bywali Polacy nie tylko przedmiotem targów, ale samoistnym podmiotem, to jest czynnikiem posiadającym wolę, a przeto panem swej działalności, który musi być pozyskany ustępstwami, jeśli ma ją ofiarować. To objawiało się i podczas wstrząsów rewolucyjnych, od których drżała Europa w pierwszej połowie XIX. w. i w stosunku, zresztą nawskróś obłudnym, dyplomacyi europejskiej do powstań polskich, to objawiało się wreszcie najdobitniej w okresie napoleońskim. Wszak fakt, że Polacy rzucali wówczas żywą swą siłę na wagę losów Europy, że orły legionowe niosły się po polach, na których znaczone kres dotychczasowemu porządkowi, a wznoszono nowy — on to przecież sprawiał, że:

Choć nas nie było, przeciemy bywali
Ponadgrobowo — choć w grobie złożeni —
Na bojowiska każdego przestrzeni,
Z orłem ze srebra i szablą ze stali.

Ten ponadgrobowy byt, nie tylko vegetację, zawdzięczała Polska w XIX. w. wojnom. Wykreślmy możliwość wojennego zużycia aktywizmu polskiego, a usuniemy odrodzenie Polski do epoki zajaśnienia nad światem wszechmocnej sprawiedliwości.

Nie wolno też spuszczać z uwagi wpływu, który te sposobności manifestowania się tężyzny zbiorowości wywierały na urabia-

nie się samowiedzy społeczności polskiej i umacnianie się w niej wiary w siebie samą, tej wiary, która nie pozwala narodowi iść poprzez rezygnację do dekadencji, lecz przeciwnie, potęguje jego rozmach twórczy. W miejsce lubowania się w reminiscencyach, prowadzących do jęklowych utyskiwań nad fatalizmem, wchodziło ożywcze przekonanie, że nie tylko *fui-mus Troes*, ale że i wrota przyszłości są przed nami otwarte. Tak dźwięk broni, którą się krzepko władało, głuszył podzwonne i duchowi narodu zasnąć na mogile zmierzchłej chwały nie dozwalał.

Jak wojna obecna, otwierając dotychczasowe tamy nagromadzonego a nieużywanego należycie aktywizmu polskiego, podziałała na wypłynięcie sprawy polskiej, to mamy wszyscy na oczach. Gdyby zaś chodziło o przykłady wypadków o wystygłej już temperaturze, to nasuwają się same dzieje państw bałkańskich, dla których wojny, które w ciągu XIX. w. uwikłana była Turcyja, a w których one mogły zaciążyć swą siłą nad wydarzeniami, były etapami ku usamodzielnianiu się na wewnątrz i wyzwalaniu na zewnątrz.

Na zakończenie kilka uwag uzupełniających. Nasamprzód co do skaz czystości zjawisk, które wprowadza sam bieg czasu. Jest przekleństwem badań nad zjawiskami życia — a więc przede wszystkim nad zjawiskami życia społecznego, jako najbardziej złożonego i najbardziej rączo płynącego — że nie mogą one nigdy tak wyodrębnić i odosobnić przedmiotów swej obserwacji, aby je rozważać same w sobie i opisowi ich nadawać ostre, ściśle zarysy. Zjawiska te są zawsze tak wtopione w pewne kompleksy, że odczuwają wpływy nieustannych wibracji swych współskładników i że ich plastyka jest wiecznie zmienna. Stąd określenie ich nacechowane jest zawsze jedynie przybliżonością i zawsze chwyta je tylko w pewnej przemijającej ich fazie, czyli że z czasem może nastąpić znaczne odchylenie pomiędzy określeniem pewnego zjawiska a zjawiskiem samym, które — jakkolwiek przeszło przeistaczającą ewolucję — zachowuje tę samą nazwę.

Jasne, że najwięcej trudności tego gatunku piętrzy się przed socjologicznym badaniem wojny: wchodzi tu w grę i nadzwyczajna szybkość tempa rozwojowego wypadków i szerokość zakresu zjawisk wciągniętych w grę i wzajemnie na się wpływających. Zjawiska, zaledwie się narodziły, już się starzeją i przeinaczają. W takich warunkach czas — który dawno przed Bergsonem przeklinał Krasinśki za to, że »przez zmarłe chwile sam wciąż stąpa żywy« — wprost rewolucjonizuje rozwój zjawisk, skręca nieraz gwałtownie linię ich biegu. Zjawiska wypadają z ram pierwotnej definicji,

ich początkowa postać ginie pod oplatającymi ją narostami. Wojna a długa wojna, to nieraz dwa w swych objawach dość odległe zjawiska — tyle z czasem przybywa nowych rysów, tyle dawnych blaknie, tak płaczą się w coraz to innych kombinacjach.

Jakże ma wobec tego radzić sobie socyolog? Wiele z jego twierdzeń o wojnie opartych o jej początkowy obraz szybko ulega przedawnieniu. Nie może on zaś ani nadążać za wszystkimi przeobrażeniami ani określić swych obarczając zastrzeżeniami, któreby czyniły je odrazu dostosowanymi do każdego wypadku. Może jedynie oznaczyć pewne motywy przewodnie tej wielkiej symfonii, którą jest wojna i może — by pozostać przy porównaniu — oznaczyć warunki akustyczne, w które one wpadają. Czyli może wskazać pewne podstawowe przemiany wprowadzone przez wojnę w stosunki społeczne i wyliczyć pewne ich możliwości rozwojowe, ale nie potrafi ani wyliczyć wszystkich przemian, ani odgadnąć które z tych ich możliwości rozwojowych — i w jakim stopniu — rzeczywistość uczyni przez selekcję konkretnymi. Dostarcza on zatem temu, kto pragnie za- stanowić się socjologicznie nad wojną, pewnych punktów orientacyjnych, nie gotowych sądów do zaaplikowania w każdej sytuacji, lecz półfabrykatów niejako, które wymagają dopiero należytego przykrojenia, otarcia z ostrości, nagięcia do aktualnych warunków. Wojna nie jest zjawiskiem ani jednolitem, któreby można przeświecić jednym zasadniczym promieniem, ani stałem, zachowującym trwale pierwotny wewnętrzny układ. To też socyolog nie ma pretensyi, aby wywody jego mogły być równie gładko, bez poprawek lub słu- mień, odnoszone do zjawisk z trzeciej, jak z pierwszej kwadry wojny. Można wymagać tylko, by dostarczane przezeń for- mułki percepcyjne posiadały elastyczność umożliwiającą sto- sowanie ich w należytych dozach i powiązaniach.

Ten punkt widzenia należy zachować na oku przy ocenie krytycznej wywodów tej rozprawy.

²
Ostrzedz[?] trzeba przed wyprowadzaniem ze stanu rzeczy wytworzonego czasu wojny wniosków, sięgających zbyt daleko w epokę pokoju i przed ustawianiem na podstawie socjologicznych obserwacji wojny horoskopów co do układu stosunków społecznych w zbiorowości, gdy ta powróci znów do normalnego sposobu życia. Obserwacje owe zahaczone są o eksperyment (w znaczeniu *comte'owskim*) wojny, o tę sumę gorących nowości, które wprowadziła ona w życie pewnych zbiorowości. Owóz wojna jest zjawiskiem zgoła wyjątkowym i jako taka pobudza społeczność do reakcji zupełnie wyjątkowych, a więc zdeterminowanych i w rodzaju swoim i w trwałości swojej potrzebami osobliwej chwili.

A więc przedewszystkiem nie należy w upojeniu wrażeniami dnia sądzić, iż tak, jak dzieje się podczas wojny, pozostanie nadal. Często słyszać, iż jednym z wyników wojny będzie gruntowne »umlernen« — przebudowa pojęć dotychczasowych. Bezsprzecznie w wielkim roztrzęsieniu wojennym runęło wiele z dawnych przesądów i uprzedzeń, wiele dawnych bogów strącono z piedestałów, wielu nowym pobudowano ołtarze. Ludzie i zbiorowości nauczyli się patrzeć na siebie inaczej, niż przedtem, dostrzegać swe wartości i — co główna — użytkowywać je we współpracy ku wzajemnej korzyści. Wolno spodziewać się, że jakiś osad z tego pozostanie. Ale wystrzegać się należy przesadnego optymizmu. Wszakże te zmiany pojęć związane są funkcjonalnie ze zmianami stosunków, które są właśnie, jak się powiedziało, najzupełniej wyjątkowe i jeśli nic z tych zmian stosunków nie przetrwa, to zn. jeśli stosunek do przyszłości pozostanie takim, jakim jest do przeszłości, jeżeli zatem pługiem pokoju zaorane zostaną doszczętnie wszystkie bruzdy, którymi wojna

poznaczyła powierzchnię dotychczasowego pożycia ludzi i zbiorowości za sobą, to i zrewolucjonizowane dziś pojęcia wrócą z wolna do dawnego stanu.

Nie każdy zresztą zanik cennych nawet posiewów wojny będzie godzien ubolewania. Nie trzeba, by korzystność obecna pewnych objawów wywołanych przez wojnę uwodziła do przekonania, że powinny one przetrwać i na dale, że należy dążyć do ich utrzymania na stałe. Z faktu, że są one aktualnie celowe, że chronią dobra pospolitego w jego teraźniejszej potrzebie, niekoniecznie wynika, iżby posiadały równą ekonomię i dla normalnego życia społecznego. Była n. p. w ciągu rozważań naszych mowa o tem, jak w czasie wojny pochłonięcie jednostki przez społeczność jest kardynalnym warunkiem wzniesienia się zbiorowości na wysokość zadania. Jego utrwalenie się natomiast i na czas pokoju byłoby niechybnie szkodliwe. Wojenne zanurzenie się jednostki z głową w zakres społeczny cenne jest dla przyszłości, jako szkoła uspołecznienia, kształcąca przeciągniętym chwilowo rygiorem umiejętność i nawyk współdziałania, a przez to odporność i przedsiębiorczość w normalnej walce o byt. Jego niezmiernie przetrwanie stałoby się przeciwnie hamulcem rozwoju społecznego, którego pęd i zakrój w równej mierze zależą od sprawnego współdziałania zestrojonych członków zbiorowości, jak też od ich uzdatnienia do samodzielności. Musi więc być pozostawione jednostce pewne *respiro*, musi być jej dana swoboda rozwijania własnej inicjatywy, a nawet musi być w dostatecznym stopniu postawiona przed koniecznością radzenia samej sobie, aby mógł z niej wyrósć silny obywatel — budowniczy własnej i wspólnej przyszłości, nie tylko pionek automatycznie posuwany z góry po linii ustalonych przepisów.

Chcieć wszystkie zjawiska krzesane przez wojnę utrzymać na stałe w tem samym poszanowaniu, które mamy dziś dla

nich, kazać także w normalnem życiu dążyć równie intensywnie do ich urzeczywistnienia, znaczy militaryzować (w złym znaczeniu tego słowa) zbiorowość i sprowadzać ją na drogę adoracyi wojny; znaczy wstawiać rozwój społeczny pod znak sprawności bojowej, jako najwyższego celu tego rozwoju. Owóż widzieliśmy poprzednio, że jeśli zawczasu i zabiegliwie przysposobione pogotowie wojenne jest dla zbiorowości w dzisiejszych warunkach — a będzie jeszcze i w jutrzejszych — warunkiem utrzymania jej rangi, to jednak niepodobna uważać go za bezwzględny sprawdzian wartości kulturalnej i rozwojowej społeczności: Sparta nie może być ideałem nowoczesnym. Nie wolno zapominać, że ostatecznie wojna jest dla pokoju, a nie pokój dla wojny. Należy więc oddać wojnie wszystko, co jej jest, wszystko, czego żąda pod groźą zatury społeczności i należy jeszcze kształcić i utrzymywać w zbiorowości podczas pokoju zdolność do wysiłku koniecznego w potrzebie wojennej. Ale baczmy, że życie pokojowe ma swoje prawa, odmienne od tych, które urządzają stan społeczności podczas wojny i że wobec tego przeszczepianie doń obyczajów skrojonych na miarę potrzeb wojny może być niejednokrotnie sprzeczne z jego zasadą.

To prowadzi do następujących jeszcze uwag.

W ciągu rozważań, do których końca dobiegamy, była mowa bardzo szeroko o korzyściach niesionych przez wojnę. Może powziąłby ktoś stąd przypuszczenie, że chciałem tu dać apologię wojny. Dlatego kilka zdań jeszcze o wartościach wojny i o ich stosunku do wartości pokoju.

Jeśli starałem się uwypuklić dodatnie — z punktu widzenia socjologa — strony wojny, to stało się to tylko dlatego, że ujemne są tak wyraźnie widoczne, tak każdy odczuwa je na własnej skórze, że nauka nie może nic dodać do tego, co człowiek sam stwierdza ku swemu ubolewaniu w codziennem

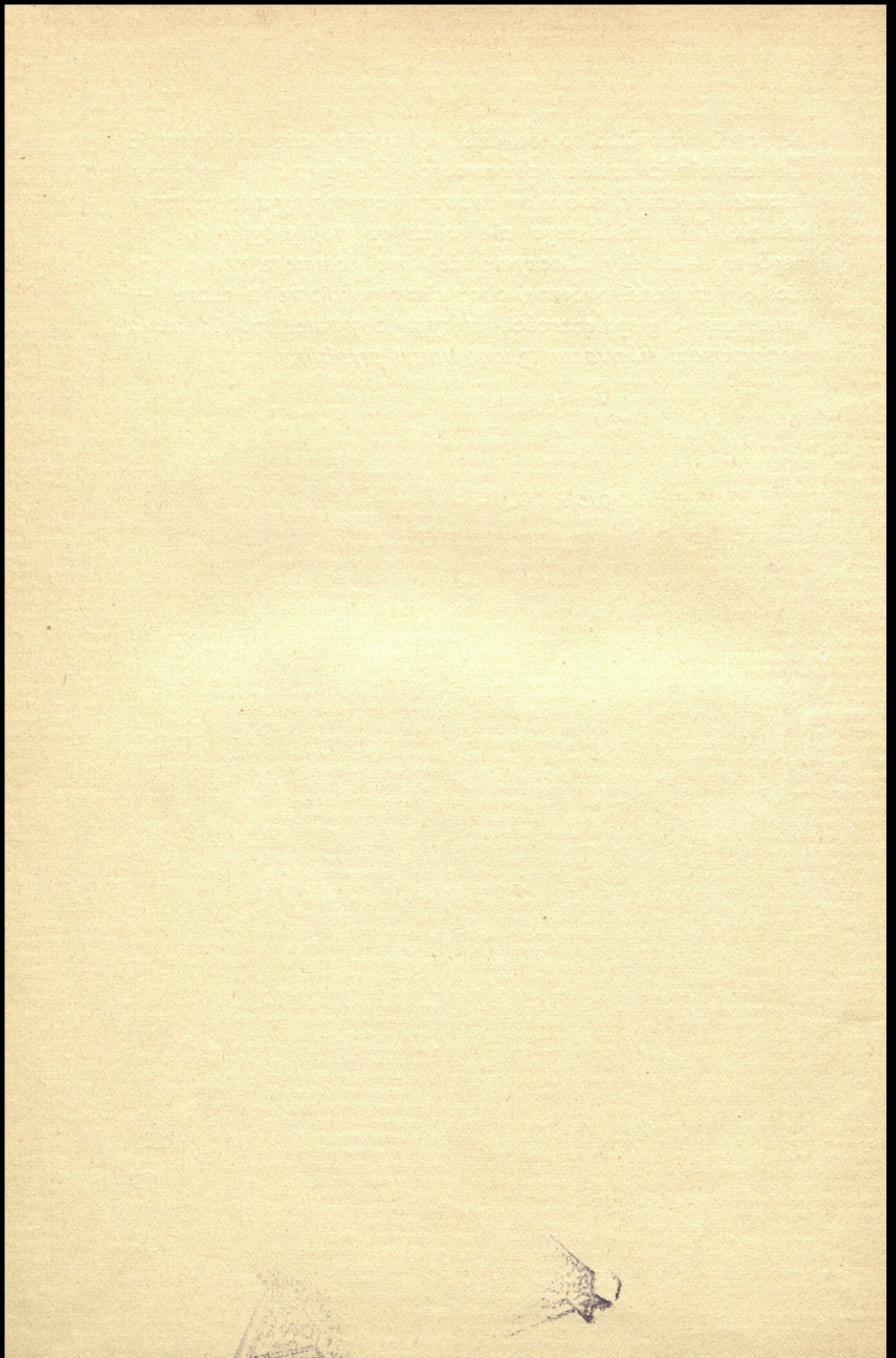
doświadczeniu. Korzyści natomiast trzeba dopiero sondować analizą i odgrzebywać, a jest ich przecież wiele i to kapitalnych dla rozwoju zbiorowości. Zwłaszcza obecnie, gdy już daleko od startu, gdy już czas rozgryzł wiele z pierwotnych korzyści, łatwo zapomnieć o nich, lub uważać je za przypadkowości tylko. Gromadzące się z czasem ciężary rozniatają, co było dobre, ale po pierwsze przecież nie wszystko, powtóre zaś wojna nie musi być długa, nie można długo-trwałości ze wszystkimi jej skutkami zaliczyć do znamion istotnych wojny, a przeto obwiniać ją zasadniczo o zło, które pociąga za sobą nadmierne jej trwanie. Powiedziało się wyżej, że wojna i długa wojna to pod wielu względami dwa różne zjawiska. Należyte *distinguendum* jest więc nieodzowne. Czy okoliczność, że przesadne uprawianie ćwiczeń fizycznych może nabawić organizm jakiejś wady, jest argumentem przeciw korzyściom gimnastyki?

Pozostaje pytanie, co przeważa — korzyści czy niekorzyści. Odpowiedź na nie nie jest jednak rzeczą socjologa, bo nie może tu być ścisłego obrachunku, zesumowania pozycji po jednej i drugiej stronie i stwierdzenia, na którą stronę przechyla się różnica. Miejsce tu nie na matematykę, nie na naukowe obliczenia, ale na ocenę filozoficzną. Przed tą zaś zasadniczą zmianą metody cofa się socjolog, oddając głos filozofowi.

Kładąc nacisk na korzyści, jako mniej dostrzegalne, nie twierdzę też, iżby wojna była bezwzględnie cenna, iżby nigdy udoskonalenie stanu pokojowego nie mogło zrównoważyć jej wartości. Stwierdzenie, że wojna posiada dodatnie wartości nie oznacza, iżby stan bezwojenny musiał być bezwzględnie uboższy, bo po pierwsze doprowadza on do rozkwitu wartości, których brak epoce wojennej, powtóre zaś nie uprawnia nic do twierdzenia, że ewolucja nie wytworzy kiedyś stanu pokojowego, którego skarby zastąpią lub przewyższą nawet swą

cennością wszystko to, co dziś we wojnie może być dodatnie dla rozwoju jednostek i zbiorowości. Że jednak nie nadeszły jeszcze te czasy, socyolog rozważający pozytywnie rzeczywistość dnia dzisiejszego nie widzi we wojnie tylko piekielnego tryumfu siły niszczycielskiej, ale dostrzega w niej doniosłe pierwiastki twórcze, obce ciszy pokojowej a cenne — zwłaszcza dla społeczności, których obywatel mówi: *mało periculosam libertatem quam tutum servitium.*

W kwietniu 1916 r.





29539/2